ODGŁOSY

ROK XIX NR 48 (990) 28 LISTOPADA 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

PIŁKA NOŻNA

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KWADRANS ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

Do ostatniej chwili myślałem, że tak.

W czwartek Węzeł obłożył mi stłuczoną nogę parafiną. W piątek byłem na normalnym rozruchu, a potem przesiedziałem pół godziny w saunie i krwiak na goleniu, jeśli nawet nie zniknął, przestał mi dokuczać. W sobotę Cygaro, nasz coach, zrobił rutynową odprawę, ustalił skład i podał go reporterom tak, że w niedzielnych gazetach znalazłem się na zwykłej pozycji. Byłem już po śniadaniu i przeglądałem właśnie kolumny sportowe, kiedy przyszedł doktor Sommer i wetknął mi w usta sześć kolorowych drażetek.

To też świadczyło, że tak.

O piątej, dokładnie pół godziny przed meczem, leżałem w szatni na pryczy, a Węzeł robił mi masaż. Łydki, uda, pośladki i dolna część kręgosłupa. Miejsca, które ugniatał i wyklepywał swoimi wielkimi, zręcznymi palcami, posypywał najpierw proszkiem dziecięcym BABY POWDER twierdząc, że w przeciwieństwie do talku nie wywołuje on stanów zapalnych. Węzeł był doskonałym fachowcem, młodym, sympatycznym facetem po studiach w Akademii Sportu i dwóch specjalizacjach w Państwowym Ośrodku Rehabilitacji. Miał swoje cudowne sposoby na rozmaite cierpienia, przy czym nie stosował zwykłych leków. Z korzonkami, bólem głowy i pospolitym wkurwieniem umiał rozprawić się błyskawicznie za pomocą gołych rąk. Wpakował ci dla przykładu kciuki za uszy, ucisnął mocno jakieś punkty w oczodołach, wygładził czoło, skronie, nos, i po migrenie!

Tylko trzech ludzi brało masaż bezpośrednio przed meczem: bramkarz Jaskóła z uwagi na swoją specyficzną funkcję, wymiatacz Moll, który był już grubo po trzydziestce i wymagał starannego rozgrzania kości oraz ja. Innych Węzeł załatwiał w tygodniu. Większość wolała zresztą grać z nabitymi nogami, masaż przed meczem rozluźniał ich i rozkładał.

Dalszy ciąg na str. 5

TEATR

ZBIGNIEW S. NOWAK

REFLEKTOR NA LALKI

Obejrzałem nie tak dawno kilka „lalkowych" spektakli – jakich, gdzie i kiedy, nie powiem, bo po prostu wstyd. Repertuar, że tylko zapłakać, odpustowa scenografia, nader mizerna „gra", ot, zwykła „odwalanka", aby zaliczyć jeszcze jeden raz, staropanieńska minoderia, mocno naciągana „dydaktyka" – to całe „bogactwo kulturalne" oferowane zwykle najmłodszym i to też niezbyt hojnie. Może to i dobrze, że mali widzowie mają dość rzadkie kontakty z ową „sztuką", nie dadzą się bowiem ogłupić kompletnie, a do świata kultury dorosłych może kiedyś trafią innymi, lepszymi drogami; jest przecież np. telewizja...

Dalszy ciąg na str. 8

CZŁOWIEK – ŚWIAT – POLITYKA

Co roku w listopadzie skupiamy swoją uwagę na książkach społecznych i politycznych, które traktują o ludziach, ich sprawach, o świecie i o polityce. Wydawnictwa szykują na ten czas interesujące nowości, odbywają się spotkania z autorami, wystawy księgarń przybierają odświętny wygląd.

Jest to czas sprzyjający dyskusjom i rozważaniom o naszej współczesności, o naszych sprawach, o naszym świecie. W tych poszukiwaniach syntezy, odpowiedzi na wiele nurtujących nas pytań z pomocą ma przyjść książka. Takich książek jest wiele. Na naszych łamach recenzujemy je częstokroć, sygnalizujemy w „Ex librisie", omawiamy. Dziś pragniemy zwrócić uwagę na niektóre pozycje, godne – naszym zdaniem – szczególnego zainteresowania.

Dalszy ciąg na str. 3

CZŁOWIEK – ŚWIAT – POLITYKA

DNI KSIĄŻKI POLITYCZNEJ

Rozmowa z zastępcą dyrektora Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa – Książka – Ruch" w Łodzi, ADAMEM JĘDRZEJCZYKIEM.

— Celem dorocznych Dni Książki Społeczno-Politycznej „Człowiek-Świat-Polityka" jest szeroka popularyzacja piśmiennictwa tego profilu we wszystkich środowiskach społecznych. Czy zechciałby Pan zapoznać Czytelników naszego pisma z zamierzeniami Przedsiębiorstwa w tegorocznej dekadzie Dni?

— Bardzo ogólnie, wymienić bowiem wszystkie imprezy we wszystkich placówkach naszego przedsiębiorstwa — po prostu nie sposób. Co roku, w ramach Dni „Człowiek-Świat-Polityka", podejmujemy szereg działań propagandowych i organizacyjnych, zmierzających do jak najszerszego upowszechniania książek i czasopism o treści społeczno-politycznej.

W tegorocznej dekadzie Dni, w Klubach Prasy i Książki na terenie województwa łódzkiego miejskiego zorganizujemy wydzielone ekspozycje z dziedziny literatury i prasy społeczno-politycznej. W centralnych punktach sprzedaży „Ruchu" — Salonie Wydawniczym, sklepach, pawilonach — urządzimy, większe niż zazwyczaj, wystawy książek o tematyce społeczno-politycznej, damy im też odpowiednią oprawę plastyczną.

W niektórych zakładach pracy i szkołach urządzimy wystawy-kiermasze literatury społeczno-politycznej, m. in.: w Zakładach Remontowo-Montażowych przy ul. Ks. Brzóski, w Zakładach „Dywilan" na Dąbrowie, w Zakładach „Kalina" przy ul. Elektronowej, w Instytucie Kształcenia Nauczycieli, w szkołach podstawowych nr nr 30, 58 i innych. Ponadto w wytypowanych Klubach Prasy i Książki odbędą się spotkania dyskusyjne oraz konkursy czytelnicze związane tematycznie z dekadą Dni.

— Propaganda wizualna...

— Właśnie chcę o tym powiedzieć. Pragnąc wyjść z jak najszerzej pojętą propagandą literatury społeczno-politycznej, wszystkie punkty sprzedaży „Ruchu", Łódzki KMPiK, jak również Kluby Prasy i Książki w województwie łódzkim miejskim, zaopatrzymy w odpowiednie plakaty propagandowe i wywieszki, wydane centralnie przez Krajową Agencję Wydawniczą. Ponadto wydawnictwa społeczno-polityczne będą specjalnie eksponowane we wszystkich naszych placówkach, na wystawach-kiermaszach i wszystkich innych imprezach organizowanych przez jednostki RSW „Prasa-Książka-Ruch".

Większe punkty sprzedaży otrzymają również odpowiednią oprawę wizualno-plastyczną. Zapewnimy należyte miejsce książce i prasie społeczno-politycznej w ekspozycjach witryn księgarń, Klubów MPiK, pawilonów, sklepów i kiosków „Ruchu".

— To na terenie łódzkiego województwa miejskiego, a jeśli chodzi po pozostałe: piotrkowskie, sieradzkie i skierniewickie?

— Ramowy program imprez w dekadzie Dni w Klubach Prasy i Książki, działających na terenie naszych oddziałów w tych województwach jest taki sam, jak w Klubach na terenie województwa łódzkiego. Realizacja tego programu w szczegółach zależy już od inwencji Klubów, ich możliwości, sposobu zorganizowania tej lub innej imprezy, rozłożenia akcentów itd. Oczywiście pomagamy im centralnie.

W Piotrkowie, na przykład, i na terenie województwa piotrkowskiego odbędzie się dość dużo, bo aż około 16 spotkań z przedstawicielami środowiska literackiego i ponad 12 z przedstawicielami środowiska dziennikarskiego. Tematyka spotkań dotyczy przede wszystkim książek i czasopism społeczno-politycznych. W Sieradzu i województwie sieradzkim akcentuje się takie imprezy, jak ekspozycje literatury społeczno-politycznej ze szczególnym uwzględnieniem piśmiennictwa z dziedziny działalności PZPR, dorobku PRL, przemian zachodzących na wsi i in. Obok tego odbędą się odczyty, kiermasze, a także spotkania z dziennikarzami. W Klubach Prasy i Książki w województwie skierniewickim, podobnie jak i w wymienionych już województwach, odbędą się prelekcje z dyskusją, spotkania z przedstawicielami środowisk twórczych — naukowcami, dziennikarzami, literatami.

Staraliśmy się, żeby w skali działania czterech województw program Dni Książki Społeczno-Politycznej był zróżnicowany ze względu na lokalną specyfikę działalności Klubów.

— Panie Dyrektorze, a jeśli chodzi o udział w Dniach Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki w Łodzi?

— Nie tylko w Łodzi. Kluby MPiK mamy jeszcze w Pabianicach i w Zduńskiej Woli.

Łódzki Klub MPiK organizuje w dekadzie Dni cały szereg imprez, a przede wszystkim spotkań i odczytów. I tak, m. in., odbędzie się spotkanie autorskie z Leonem Wanatem, więźniem Pawiaka, na temat jego książki „Apel więźniów Pawiaka", spotkanie z dyrektorem „Czytelnika" i inne. Ponadto KMPiK w Łodzi urządza wystawę wydawnictw radzieckich, książek, płyt, pocztówek i reprodukcji malarstwa, połączonego ze sprzedażą. Następnie wystawę fotogramów uczestnika wyprawy w góry Patagonii oraz ekspozycje — w witrynie księgarskiej KMPiK — literatury społeczno-politycznej, literatury pięknej i popularno-naukowej.

W Klubie MPiG w Pabianicach program dekady Dni obejmuje prelekcję pracownika naukowego UŁ, turniej czytelniczy organizowany wespół z Radą Miejską Federacji ZSMP w Pabianicach, wystawę pod nazwą „Czym żył świat w 1976 roku?" oraz prelekcję na temat możliwości rozwoju handlu Wschód—Zachód, którą wygłosi również pracownik naukowy UŁ.

W Klubie MPiK w Zduńskiej Woli odbędą się podobne imprezy.

Oczywiście Kluby MPiK organizują imprezy o zupełnie innym profilu niż Kluby wiejskie. Podjęliśmy takie formy działania, które uwzględniają potrzeby i zainteresowania lokalnych środowisk oraz zapewniają właściwą realizację założeń ideowo-politycznych w dekadzie Dni „Człowiek — Świat — Polityka".

— Panie Dyrektorze, ile Klubów Książki i Prasy macie w terenie?

— Około pięciuset. I od razu dodam — bo na pewno chce pan o to spytać — że w ubiegłym roku w imprezach zorganizowanych przez Kluby z okazji dekady Dni Książki Społeczno-Politycznej wzięło udział około 30 tysięcy osób. Sądzimy, że w tym roku liczba ta będzie większa.

— Będąc już przy tym, proszę mi powiedzieć, ile imprez ogółem zorganizowały terenowe Kluby Prasy i Książki w 1975 roku?

— Około 16 tysięcy, że średnią frekwencją oceniając skromnie, 30 osób na każdej imprezie.

— Czyli, mnożąc tę liczbę przez 16 tysięcy imprez, można powiedzieć, iż w całym ubiegłym roku we wszystkich imprezach Klubów uczestniczyło około pół miliona osób.

— Tak to wynika z rachunku.

— Dziękuję za rozmowę.

Notował: W. ST.

TELEWIZJA

WIEDZA O TELEWIZJI

W dniach 16—17 listopada br odbyła się w Uniwersytecie Łódzkim ogólnopolska konferencja naukowa, której temat: „Rola telewizji w kulturze narodowej" można w kontekście akademickiej tradycji uznać za bezprecedensowy. Zorganizowanie wspomnianej konferencji dowiodło, że badania nad telewizją, jej funkcjami i oddziaływaniem, badania prowadzone nad samym programem TVP i jego recepcją wkroczyły w nowy, sankcjonowany naukowym warsztatem badawczym etap. Nie bez przyczyny organizatorem tej sesji był Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ. Uniwersytet Łódzki, jako pierwsza uczelnia w kraju powołał w 1959 roku Zakład Wiedzy o Filmie, który w ciągu lat swej naukowej i dydaktycznej pracy, obok problemów filmoznawstwa w obszar swych zainteresowań włączył również zagadnienia telewizji. W ramach obecnego Zakładu Wiedzy o Filmie i Telewizji utworzono Pracownię do Badań Radia i Telewizji, co będąc swoistym signum temporis jest równocześnie konsekwencją rozwoju badań i prac dydaktycznych, prowadzonych w uczelni, która przed laty miała odwagę stworzyć placówkę naukową zajmującą się zjawiskami społecznymi i artystycznymi, nie mieszczącymi się w ramach dotychczasowych akademickich zainteresowań badawczych. Ostatnie lata przynoszą informacje, że droga została przetarta i filmoznawstwo wkracza dziś do innych polskich uczelni. W ślad za nim, co jest przecież procesem oczywistym, uwagą objęte zapewne zostaną również zagadnienia telewizji i radia. O potrzebie włączenia tej problematyki w zakres badań naukowych mówił JM Rektor, prof. dr hab. Romuald Skowroński, który otwierał omawianą tu konferencję.

W Uniwersytecie Łódzkim w 1964 roku obroniono pierwszą w kraju telewizjoznawczą rozprawę doktorską. Jej autorką była doc. dr Pola Wertowa, obecny kierownik Pracowni do Badań Radia i Telewizji. Prace własne oraz rozprawy doktorskie i prace magisterskie pisane pod kierunkiem prof. dra B.W. Lewickiego i doc. dr P. Wertowej stanowią dziś pokaźny już plon badawczy problemów telewizji, dotyczą one zwłaszcza programu TVP i różnych jego form rodzajowo-gatunkowych. Zakład Wiedzy o Filmie i Telewizji, a w jego ramach wspomniana Pracownia prowadzą również badania związane z tematami takich problemów węzłowych, jak: „Modernizacja systemu oświaty" i „Polska kultura narodowa".

Ten krótki, bez mała historyczny, rys i informacje o obecnych pracach Zakładu Wiedzy o Filmie i Telewizji wydawał się konieczny, gdyż prowadzi on do tematyki omawianej tu konferencji: „Rola telewizji w kulturze narodowej" oraz wyjaśnia wybór jej miejsca.

Konferencja, poza celem stricte naukowym, miała również charakter określonego sondażu i prezentacji tych placówek badawczych, które prowadzą dziś w kraju prace natury telewizjoznawczej. Zgodnie z cechami swego przedmiotu konferencja ta miała charakter interdyscyplinarny. Uczestniczyli w niej historycy i teoretycy literatury i filmu, językoznawcy, prasoznawcy, socjolodzy i pedagodzy. Program konferencji przyniósł referaty zgłoszone przez pracowników Instytutu Badań Literackich PAN, Instytutu Sztuki PAN, Ośrodka Badań Prasoznawczych w Krakowie, Ośrodka Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych Polskiego Radia i Telewizji, Akademii Ekonomicznej w Krakowie, Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytetu Śląskiego oraz Uniwersytetu Łódzkiego, który reprezentowali językoznawcy, socjolodzy oraz zespół pracowników i doktorantów Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu.

Tematyka poszczególnych referatów pozwala wyodrębnić określone kierunki badań wobec przedmiotu tak wielofunkcyjnego, jakim jest telewizja. Interdyscyplinarność tych badań jest wykładnikiem złożoności zjawiska, o którym tu mowa, zjawiska, którego rola w kulturze narodowej wydaje się dziś bezsporna, lecz bliższe jej określenie wymaga jeszcze wielu dociekań.

Referat doc. dra hab. Walerego Pisarka „Telewizja w systemie komunikowania masowego" sytuował telewizję w ogólnym systemie MM, czyli środków masowego przekazu lub inaczej mówiąc — komunikowania, wskazywał korzyści i wady tego systemu. Referat mówił o telewizji jako medium w ręku dysponentów, jako medium, będącym systemem przekazu oraz czynnikiem rozwoju transmisji kultury narodowej. Mówił o roli telewizji, roli, o której decyduje zarówno zawartość programu jak i jego faktyczny odbiór.

Problemom badania recepcji poświęcono na konferencji kilka referatów. O zagadnieniu tym mówił mgr Włodzimierz Piekarski, reprezentujący Ośrodek Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych. Jego referat „Dostępność i wykorzystanie telewizji w społeczeństwie polskim" był relacją z badań prowadzonych od lat przez ów Ośrodek. Z wielu niezwykle interesujących informacji wspomnijmy tylko dwie dane: w chwili obecnej 90 procent społeczeństwa w naszym kraju ma możność oglądać programy TVP, według danych sondażowych trzy czwarte obywateli naszego kraju czas wolny poświęca telewizji. Nad oceną tych informacji nie czas i miejsce tu się zatrzymywać, są one sygnałami, mającymi inspirować wiele środowisk twórczych, kulturalnych, socjologicznych i pedagogicznych.

Iż tak się już dzieje, świadczyć mogą referaty przedstawione na konferencji. Problemy odbioru i oddziaływania telewizji podejmowały referaty, których tytuły sygnalizują tropy badawcze. Prace łódzkich socjologów kultury prezentował referat doc. dra hab. Zbigniewa Bokszańskiego pt. „Sposoby korzystania z telewizji w środowisku studenckim" oraz referat dra Bogusława Sułkowskiego „Formuła telewizyjnego widowiska rozrywkowego i jego użytki społeczne", opracowany na podstawie analizy programu Studia-2. W kręgu tych zagadnień pozostawał referat dra Jerzego Mikułowskiego-Pomorskiego „Socjalizacja polityczna a telewizja" oraz referat dra Stanisława Morawskiego „Rola telewizji w życiu młodzieży licealnej".

Inny blok tematyczny stanowiły referaty dotyczące roli telewizji w procesie edukacji. Dr Maciej Łukowski w wystąpieniu na temat „Telewizja jako przekaźnik i współtwórca treści oświatowych" przedstawił historię i analizę tych programów TVP, które pełnią bezpośrednią funkcję oświatową i realizują zadania popularyzacji wiedzy. Zespół pracowników Instytutu Nowych Technik Nauczania z Uniwersytetu w Poznaniu (dr hab. Wacław Strykowski, mgr Elżbieta Nowakowska, mgr Wojciech Skrzydlewski, mgr Jan Gawroński) przedstawił referaty podejmujące metodologiczne problemy badań nad telewizją dydaktyczną oraz problemy metodyki telewizji dydaktycznej i prezentujące wyniki badań prowadzonych nad skutecznością poszczególnych programów właśnie telewizji stricte dydaktycznej. Zagadnienia te w obliczu zadań, jakie wzięła na siebie TVP prowadząc NURT, Telewizyjne Technikum Rolnicze, a nawet Telewizyjną Szkołą Średnią, są zupełnie nowymi problemami ogólnej dydaktyki.

Prof. dr hab. Karol Dejna w referacie „Język, styl i stylizacja w procesie upowszechniania kultury", obok ogólnych zagadnień językoznawczych podjął również problem konieczności prowadzenia badań nad językiem i jego stylizacją w programach radiowych i telewizyjnych. Potrzeba troski o poprawność i piękno języka, którego przekaźnikiem tak powszechnym jest dziś radio i telewizja, była apelem kończącym to wystąpienie.

Prof. dr Bolesław W. Lewicki przedstawił problemy warsztatu badań nad obrazem telewizyjnym, ujmując to zagadnienie w aspekcie teoretycznym, traktującym obraz filmowy i telewizyjny jako to samo zjawisko ekranowe, z wszystkimi wynikającymi z tego faktu konsekwencjami badawczymi. Referent przedstawił również pewne pragmatyczne aspekty warsztatu badań nad obrazem telewizyjnym. Ciekawe problemy natury teoretycznej przedstawił również dr Janusz Lalewicz z IBL-u w referacie „Rola telewizji w kształtowaniu potocznego obrazu świata" oraz mgr Kazimierz Sobotka w referacie „Analiza filmu a wzór analizy widowiska telewizyjnego". W tych trzech referatach dominowały problemy metodologiczne, które stanowią centralne zagadnienie każdych badań. Dominowały one też w dyskusjach towarzyszących referatom.

Referat głównego organizatora Konferencji doc. dr Poli Wertowej „Wokół stylu polskiego widowiska telewizyjnego" poświęcony specyfice tego stylu i próbie określenia swoistości stylów najwybitniejszych polskich twórców widowisk telewizyjnych poprzedził wystąpienia doktorantów, którzy w swych pracach charakteryzowali wybrane formy rodzajowo-gatunkowe programu TVP. Mgr Jerzy Kucza przedstawił referat „Teatr TVP w poszukiwaniu nowych form widowiska", mgr Grażyna Stachówna „Telewizyjna Scena Monodram w programie TVP", mgr Viola Pyczewska „Wkład oryginalnej dramaturgii teatru TVP w tworzenie kultury narodowej", mgr Maria Korzeniowska-Sondej „Z badań nad polskim animowanym filmem dla dzieci w programie TVP", mgr Barbara Kowalczyk-Lorynowicz „Klasyka rosyjska i radziecka w programie TVP". Tematy tych referatów określają krąg zainteresowań i stanowią próby monografii określonych programów TVP. Mgr Mieczysław Dudek z UŚl przedstawił referat na temat „Konflikt fabularny w filmie telewizyjnym — jego natura i funkcja".

Problemom krytyki telewizyjnej, a więc tym zagadnieniom, które najbardziej interesują czytelnika i telewidza, referat swój poświęcił doc. dr hab. Aleksander Kumor. Rozważaniom teoretycznym towarzyszyła tu dość surowa ocena obecnego stanu krytyki telewizyjnej. Kończąc tę relację, pragnę jeszcze jedynie przekazać opinię i nadzieje uczestników konferencji, że stała się ona ważnym przyczynkiem do rozwoju planowych i kompleksowych badań nad telewizją.

EWA NURCZYŃSKA

INFORMACJE

ŁODZIANIN NAJLEPSZY

Centralna Rada Związków Zawodowych, Federacja Socjalistycznych ZMP oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki zorganizowało turniej wiedzy o Polsce pt. „Polska dziś i jutro". W strefowych finałach udział wzięło 38 reprezentantów dziesięciu województw.

Po teście pisemnym 11 uczestników zakwalifikowało się do finału ustnego. Najlepszym okazał się łodzianin Tadeusz Formański z ZPB im. Harnama. Trzy równorzędne dalsze miejsca zajęli: Wiesław Bombrych z Łowicza, Kazimierz Majewski z Piastowa koło Warszawy i Barbara Tur z Białej Podlaskiej.

CHARLIE VENTURA W ŁODZI

Do Polski przyjechał na gościnne występy Charlie Ventura, znakomity saksofonista amerykański, znany jazzmanom na całym świecie. Prowadził on kilka zespołów, nagrał wiele płyt, często występował z takimi sławami jak np. Duke Ellington czy Louis Armstrong.

Ventura po występie w warszawskim klubie studenckim „Stodoła" odwiedzi także Łódź, Katowice, Opole, Poznań i Białystok.

SZANSA DLA MŁODYCH

Z udziałem ponad 40 młodych artystów-absolwentów i słuchaczy wyższych szkół muzycznych ze wszystkich ośrodków w kraju, rozpoczął się 21 bm. w Poznaniu ogólnopolski konkurs skrzypków.

Celem konkursu jest stworzenie dla młodzieży wiolonistycznej szansy zaprezentowania swych umiejętności muzycznych oraz sprawności warsztatowej. Jest to też dobra okazja do przeglądu poziomu młodej wiolonistyki przed przyszłorocznym Konkursem Skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego, który odbędzie się w dniach 13 — 27 listopada w Poznaniu.

PÓŁTORA HEKTARA POSADZEK DLA ZAMKU KRÓLEWSKIEGO

Stoły, krzesła, komody i inne meble w różnych stylach pięknie wykonane z mahoniu czy czarnego dębu chętnie kupowane są od 25 lat przez zagranicę oraz obiekty zabytkowe w kraju. Wykonuje je Fabryka Mebli Artystycznych w warszawskim Henrykowie. Wartość rocznej produkcji tego zakładu, zatrudniającego tylko 170 pracowników wynosi ponad 28 milionów złotych.

Artyści-stolarze przygotowują obecnie posadzki do Zamku Królewskiego, których ogólna powierzchnia wyniesie półtora hektara. W pracowni konserwacji dzieł sztuki Fabryki Mebli Artystycznych dokonywana jest również renowacja starych mebli, które będą stanowić wyposażenie zamkowych komnat.

NAGRODZONE PRZEŹROCZA

Na III Ogólnopolskim Przeglądzie Przeźroczy Krajoznawczych „Diakraj-76" zorganizowanym przez CRZZ i PTTK sukces odniosły zestawy reprezentantów łódzkiego PTTK. M. in. złoty medal w kategorii prelekcji ilustrowanych przeźroczami otrzymał M. Z. Wojalski za zestaw „Łowiczanka jestem".

I NAGRODA DLA PIOSENKI „MOJA ŁÓDŹ"

W konkursie na piosenkę o Łodzi w grupie amatorów I nagrodę uzyskała piosenka pt. „Moja Łódź" — muzyka i tekst Bronisława Króla, natomiast w grupie profesjonalistów III nagrodę zdobyła (I i II nagrody nie przyznano) piosenka „Łódzka niedziela" — słowa K. Drobika, muzyka Z. Pucka.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI–GLANC.

CZŁOWIEK – ŚWIAT – POLITYKA

POLSKA—75

Zmiana struktury administracyjnej kraju, dokonana w czerwcu 1975 roku, zdeaktualizowała wszelkie dotychczasowe opracowania statystyczne i inne, traktujące kraj w podziale na 17 województw. Zrodziła też potrzebę nowego opracowania, które brałoby pod uwagę nowy podział administracyjny. Na to zapotrzebowanie odpowiedziało PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, wydając książkę pt. „POLSKA — 75".

Jest to opracowanie, które w części pierwszej dostarcza syntetycznych informacji o kraju z dziedziny geografii historii, demografii, gospodarki. Z tej części książki można dowiedzieć się o strukturze społecznej Polski z lat 1944—1975, naszym ustroju państwowym, siłach zbrojnych, oświacie, nauce i kulturze. Są zawarte tu podstawowe informacje o panującym u nas systemie partyjnym i kierowniczej roli PZPR. A także o miejscu Polski we współczesnym świecie.

Część druga poświęcona jest panoramie województw i prezentuje kraj w nowym podziale administracyjnym. Ilustrowana jest mapami i wzbogacona wieloma danymi statystycznymi.

KŁAJPEDA

Kłajpeda — miasto i port nad Morzem Bałtyckim, należącym dziś do Litewskiej SRR — w okresie międzywojennym budziła zainteresowanie wielu państw europejskich. W marcu 1939 roku została zajęta przez wojska hitlerowskie. Przez cały czas międzywojennego dwudziestolecia Kłajpeda była przedmiotem zainteresowania dyplomatów i polityków. Znajdowała się również w kręgu zainteresowania dyplomatów i polityków polskich, a przez pewien okres czasu mogła stać się portem przejmującym polski tranzyt i handel zagraniczny. Możliwości tej jednak Polska nie potrafiła wykorzystać, a mając też ograniczone możliwości korzystania z portu w Gdańsku, zdecydowano się wybudować własny port w Gdyni.

Duże znaczenie Kłajpedy w międzywojennej historii nie doczekało się w Polsce szerszego oświetlenia historycznego. Tematem tym zainteresował się dopiero Sergiusz Mikulicz — historyk i dyplomata. Nakładem „Książki i Wiedzy" ukazała się jego praca pt. „Kłajpeda w polityce europejskiej".

BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA

„Barbara Radziwiłłówna stanowi fenomen polskiej kultury. Żyła krótko, nie pozostawiła po sobie dzieł literackich, nie wiodła do boju wojsk, nie zasłynęła jako wybitna, oddziaływająca na losy poddanych monarchini". **— pisze we wstępie do książki wydanej nakładem „Wydawnictwa Łódzkiego", pt. „BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA" jej autor Zbigniew Kuchowicz. A mimo to stała się przedmiotem zainteresowania historyków, pisarzy, malarzy.**

Na łamach „Odgłosów"drukowaliśmy obszerne fragmenty tej książki jeszcze przed jej ukazaniem się w „Wydawnictwie Łódzkim", co wzbudziło żywe zainteresowanie Czytelników. Teraz Czytelnicy otrzymali do ręki pełny tekst „Barbary Radziwiłłówny" i zapewne chętnie poń sięgną.

Zbigniew Kuchowicz specjalizuje się w studiach nad obyczajowością, mentalnością i warunkami życia różnych warstw dawnej Polski. W „Barbarze Radziwiłłównie" prezentuje portret nie tylko tej do dziś intrygującej Litwinki, ale szeroką panoramę ówczesnych obyczajów, postaw i sposobu życia, a wszystko to przedstawia na tle ówczesnych warunków politycznych.

SYSTEMY PARTYJNE

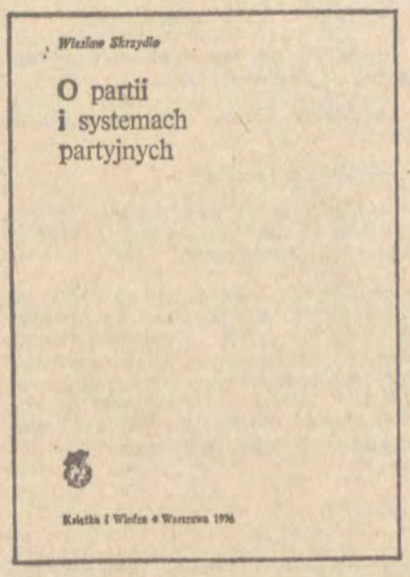

Wiesław Skrzydło napisał, a „Książka i Wiedza" wydała podręcznik dla uczestników i wykładowców szkolenia partyjnego o powstaniu i funkcjonowaniu partii i systemów partyjnych.

Książkę otwiera rozdział poświęcony marksistowskiej teorii panowania klasowego, który wraz z następnymi — poświęconymi powstaniu partii politycznych oraz systemów partyjnych — składa się na zarys marksistowskiej wiedzy o partii.

Następna część książki poświęcona jest różnym systemom partyjnym funkcjonującym w krajach kapitalistycznych, Trzeciego Świata oraz w krajach socjalistycznych.

Trzecia część wreszcie poświęcona jest partii marksistowskiej i poza podstawowymi wiadomościami o partii traktuje też o jej kierowniczej roli i zasadach funkcjonowania.

WSZECHŚWIAT CZĄSTEK

Coraz częściej współczesny człowiek staje wobec stwierdzenia, że nasz świat jest tak skomplikowany, a on — jego integralna część — niewiele w tych skomplikowanościach się orientuje. Nauka w poszczególnych swoich dziedzinach dochodzi do coraz nowszych odkryć i wniosków, które mogą już być znane jedynie specjalistom. Nawet „języki" poszczególnych nauk stają się mało zrozumiałe dla ogółu i dla specjalistów innych dziedzin także. Ale współczesny człowiek musi orientować się przynajmniej w ogólnych zawiłościach współczesnego mu świata. I tu z pomocą przychodzi literatura popularno-naukowa. PWN już od dawna wydaje **„Bibliotekę problemów"**, w której stara się popularyzować różne dziedziny wiedzy o naszym świecie. 217 tom tej biblioteki przynosi książkę o świecie cząsteczek: **„Wszechświat cząstek"**.

Co w tej książce można znaleźć? Jej autorzy **E. Okonow** i **G. Wardenga** piszą o historii cząsteczki, a także o najnowszych osiągnięciach w poznaniu „wnętrza atomu" Poznanie cząsteczki prowadzi jednakże nie tylko w głąb atomu, ale również w niezmierzone przestrzenie Kosmosu. I tak oto od atomu przechodzi Czytelnik niepostrzeżenie do makroproblemów: cywilizacji kosmicznych, życia na innych planetach, zawiłości różnych struktur, jakie mogą istnieć we Wszechświecie.

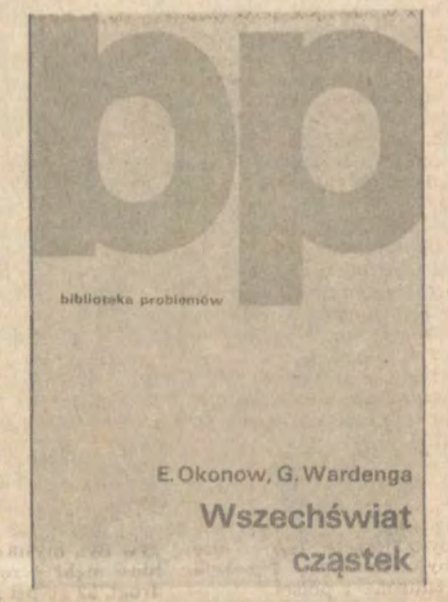

W KRĘGU HITLERA

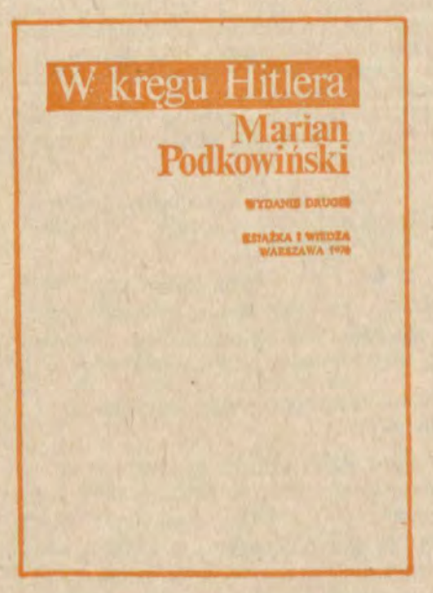

„W kręgu Hitlera" — taki tytuł nosi książka **Mariana Podkowińskiego**, której drugie wydanie właśnie ukazało się nakładem „Książki i Wiedzy". Autor we wstępie przypomina, że obecnie panuje żywe zainteresowanie czasami Trzeciej Rzeszy i na Zachodzie, a szczególnie w RFN, ukazuje się wiele publikacji poświęconych Adolfowi Hitlerowi.

Tragiczne dzieje drugiej wojny światowej i u nas budzą żywe zainteresowanie. Stąd między innymi i popularność książki Mariana Podkowińskiego, który w oparciu o publikacje ukazujące się w RFN, pamiętniki i publikacje z innych krajów, wiele faktów i zdarzeń z czasów drugiej wojny i Trzeciej Rzeszy pokazał w nowym świetle. Wielu bowiem autorów zachodnich stara się pokazać Adolfa Hitlera inaczej. Sięgają oni np. do czasu jego młodości, aby pokazywać „złożoność" tej postaci, Są to próby, z którymi nie zawsze można i trzeba się godzić. I dlatego Marian Podkowiński przypomina, że:

„Wyrok norymberski oraz jego uzasadnienie, podpisany przez sędziów reprezentujących cztery mocarstwa z antyhitlerowskiej koalicji czasu wojny, był, jest i pozostanie dokumentem naszej epoki, ukazującym we właściwym świetle hitlerowskie zbrodnie i ich polityczne podłoże".

Książka Mariana Podkowińskiego zmierza właśnie do pokazania warunków i przyczyn, które zrodziły największą zbrodnię ludzkości.

ENCYKLOPEDIE

W penetracji księgarskich półek warto szczególną uwagę zwrócić na encyklopedie. Ukazuje się ich ostatnio wiele i powinny stanowić stały zestaw w podręcznych bibliotekach wszystkich, którzy żywo interesują się różnymi zagadnieniami naszego życia.

● **WIEDZA POWSZECHNA** wydała już po raz 17 Encyklopedię **„ŚWIAT W PRZEKROJU"**. Nosi ona datę 1976 i obejmuje ważniejsze wydarzenia z roku 1975 oraz niektóre z pierwszego półrocza 1976 roku.

W encyklopedii tej można znaleźć między innymi:
— 208 haseł poświęconych niepodległym państwom świata,
— artykuły omawiające najważniejsze wydarzenia polityczne i gospodarcze, jakie miały miejsce w roku ubiegłym,
— przegląd działalności ONZ i innych międzynarodowych organizacji w roku 1975,
— omówienie ważniejszych imprez sportowych ubiegłego roku,
— wiele danych statystycznych dotyczących gospodarki, kultury i życia społecznego Polski i innych państw.

● Również **WIEDZA POWSZECHNA** wypuściła na rynek księgarski **„ENCYKLOPEDIE PRAWA MIĘDZYNARODOWEGO I STOSUNKÓW MIĘDZYNARODOWYCH"**. W encyklopedii tej można znaleźć wiele haseł dotyczących powstania i działania różnych organizacji międzynarodowych, międzynarodowych układów, wydarzeń, a także dotyczące różnych dziedzin międzynarodowej współpracy.

● Podobnie nakładem **WIEDZY POWSZECHNEJ** ukazał się **„SŁOWNIK GEOGRAFII EUROPY"**, zawierający ogólne wiadomości geograficzne i gospodarcze o kontynencie, a następnie szczegółowe dane o wszystkich krajach Europy.

TYDZIEŃ KSIĄŻKI POSZUKIWANEJ

Wielokrotnie już sądzono, że spadnie popularność książki. Miał ją wyrugować film. Miała ją wyrugować telewizja. Ale rzeczywistość obaliła te wszystkie przypuszczenia. Książka była i jest artykułem wielce poszukiwanym. Książki — niektóre oczywiście — błyskawicznie znikają z półek księgarń. A bywa i tak, że są już sprzedane nim się na tych półkach ukażą.

O popularności książek świadczy też frekwencja w bibliotekach. W bibliotekach zresztą nie tylko książki się wypożycza, tu się też o książkach dyskutuje, tu czytelnicy spotykają się z autorami.

W ciągu roku zdarza się kilka okazji do popularyzowania książek. W maju tradycyjnie już odbywają się kiermasze książek. Są dni, kiedy się popularyzuje książkę techniczną. W listopadzie — książkę społeczno-polityczną. Wszystkie te imprezy cieszą się dużą popularnością i zjednują książkom coraz większe rzesze miłośników. Cieszyć to nas wszystkich powinno, ale też nie powinno powstrzymywać w podejmowaniu dalszych inicjatyw.

Już po raz drugi z inicjatywą sprezentowania czytelnikom książki poszukiwanej wychodzi księgarnia „WSPÓŁCZESNA" w Łodzi, mieszcząca się przy al. Tadeusza Kościuszki. Przy skromnym współudziale „Odgłosów" organizuje ona w pierwszych dniach grudnia drugi już TYDZIEŃ KSIĄŻKI POSZUKIWANEJ.

Co można będzie od 1 grudnia 1976 roku znaleźć na stoiskach księgarni „Współczesnej"?

Znajdzie się tam wiele atrakcyjnych wydań, a wśród nich bibliofilskie wydanie **„Międzynarodówki"**, **„Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę"** — zbiór pieśni rewolucyjnych, nowe wydanie **„Manifestu Komunistycznego"**.

A także między innymi:

Włodzimierz I. Lenin — „Zadania związków młodzieży",
Włodzimierz T. Kowalski — „Wielka koalicja", tom II,
„Encyklopedia drugiej wojny światowej",
„Życie codzienne magnaterii polskiej w XVII wieku",
Julian Tuwim — „Kwiaty polskie",
Giovanni Boccaccio — „Dekameron"
Tomasz Mann — „Wyznania hochsztaplera Feliska Krulla",
Wiktor Hugo — „Katedra Marii Panny w Paryżu".
Martin Nexo-Andersen — „Ditta".
Kazimiera Iłłakowiczówna — „Wiersze",
Vladimir Paral — „Zawód: kobieta",
Romain Rolland — „Colas Breugnon",
Melchior Wańkowicz — „Królik i ocean", „Ziele na kraterze", „Atlantyk — Pacyfik", „W pępku Ameryki", „Tworzywo",
Ernest Hemingway — „Komu bije dzwon", „Sygnowano: Hemingway",
James Joyce — „Ulysses",
William Faulkner — „Światłość w sierpniu", „Wszyscy polegli lotnicy",
Emil Zola — „Nana",
Konstynty Ildefons Gałczyński — „Poezje",
Roman Bratny — „Kolumbowie rocznik 20",
Igor Śmiałowski — „Igraszki z Melpomeną",
Willa Cather — „Utracona",
Julio Cortazar — „Wielkie wygrane",
John Galsworthy — „Koniec rozdziału",
Jerzy Lowell — „Na dobre i na złe".
Juliusz Słowacki — „Wiersze i poematy".
Jan Sztaudynger — „Piórka znalezione",
Miron Białoszewski — „Wiersze".
Maria Rodziewiczówna — „Macierz".

Na półkach i stoiskach księgarni „WSPÓŁCZESNA" w czasie TYGODNIA KSIĄŻKI POSZUKIWANEJ można będzie też znaleźć wiele ciekawych pozycji kryminalnych, literatury science fiction, słowników — jak na przykład: **„Słownik polsko-angielski"**, **„Słownik ortograficzny języka polskiego"** — map, wśród których znaleźć będzie można mapę administracyjną Polski, mapę samochodową oraz atlasy.

Amatorzy robót ręcznych i gotowania znajdą dla siebie interesujące pozycje, na przykład o kuchni polskiej, rosyjskiej, francuskiej, a amatorzy robót ręcznych: **„ABC dziewiarstwa ręcznego"**, **„ABC robót szydełkowych"** czy **„Nowe sploty"**.

Każdy, kto interesuje się książką będzie mógł od 1 grudnia 1976 roku przez cały tydzień znaleźć coś interesującego dla siebie w księgarni „WSPÓŁCZESNA".

Zachęcamy i polecamy!

W. JAŻDŻYŃSKI

W stróżówce

Rys. Janusz Szymańaski-Glanc

— O czym tak dumasz nocny stróżu?

W drzwiach stróżówki zatrzymał się na chwilę Wiktor Ksawery, elegancki, pachnący amerykańskim Maksem Factorem, wystrojony w ciemny garnitur wizytowy i białą koszulę z nylonu. Przy nogach dwie pękate walizki z delikatnej skóry.

— Nie dumam tylko czuwam. Pilnuję zlikwidowanego mienia społecznego.

— Słusznie, stróżu, wróg podsłuchuje i kradnie.

— Po co przylazłeś? Mówiłem ci przecież, że będę czuwał do rana, nie mam jeszcze gdzie mieszkać.

— Podajmy sobie w takim razie ręce, ja już nie mam gdzie mieszkać.

— Hrabina cię wylała, autentycznego Nałęcza?

— Odszedłem sam bezpowrotnie. Jak pamiętasz może umówiłem się, że będę sypiał w swoim łóżku, a nie w jej. Człowieku, przecież to by była jakaś łagodna postać nekrofilii, hrabina liczy ponad sześćdziesiąt wiosenek.

— Non possum te absolvere filii, wszelkie stworzenie potrzebuje pociechy. Hrabiny, jak słyszałem, bardzo ciężko znoszą zawody miłosne. Rozgość się grzeszniku bez winy.

— Bóg ci wynagrodzi litość nad bezdomnym.

— Wolę liczyć na siebie.

W stróżówce było ciepło jak u dobrej matuli za piecem. Suche drzewo trzeszczało w żelaznym piecyku nazywanym swojsko kozą. Karol obszedł dopiero co rozległy teren składów i magazynów fabrycznych, można więc było swobodnie pogwarzyć. Nałęcz wsunął jedną walizę pod pryczę, drugą położył delikatnie na stole.

— Przyniosłem ze sobą szczątki magnackiej fortuny mojej niedoszłej obłubienicy. Starczy nam na jakiś czas.

— Obrabowałeś hrabinę?

— No wiesz! Należała mi się chyba jakaś odprawa w naturaliach. Pod tym względem hrabina okazała się w porządku, każdą butelkę oblała łzami nie mówiąc już o zakąskach.

Karol zabrał się do krojenia chleba, każda pora jest stosowna na dobry posiłek. W stróżówce zapachniało wędzonym mięsem, wędlinami, rybami, jałowcem, octem, poszła prosto w sufit woń ostro przyprawionych śledzi i ziołowej nalewki. Hrabina, daj jej Boże zdrowie, musiała mieć szeroki gest i dużo w sobie bezinteresowności, a być może współczuła studentom ze swojej sfery i chciała im pomagać. Nałęcz przyrządzał kanapki i jak zwykle rozmyślał głośno. Karol słuchał uważnie. Los zetknął ich przypadkowo, a może i nie, dość, że spotkali się podczas egzaminów pod drzwiami gabinetu profesora ekonomii. Obaj wiedzieli z praktyki, że studencka ekonomia składa się z trzech głównych części: winien — ma — chciałby mieć, i ta trzecia część z punktu widzenia jednostki jest najważniejsza, umieli jednak więcej niż przeciętni studenci. Znali na pamięć prawa podaży i popytu, akumulacji, podział na dobra produkcyjne i konsumpcyjne, zasady polityki inwestycyjnej w szanującym się państwie, istotę wyzysku i sens polityczny wartości dodatkowej. Sprawy dosyć odległe od pustej kieszeni studenta, nie mówiąc już o żołądku, który na przestrzeni każdego niemal tygodnia przeżywał tłuste i chude dni, jak starożytni Egipcjanie lata. Egzamin zdali popisowo, musieli zresztą, jako źle urodzeni i trochę gorzej widziani od innych.

— Mój nieboszczyk ojciec, drogi Karolu, który starą augustówką obcinał sąsiadom klamki mawiał, że przed bibą pije się po jednym na stojaco, co w naszym przypadku ma symbolizować przyjazd do tego tutaj dworu. Oddaj tedy chłopcu lejce, nogi ze strzemion i kropimy na początek zsiadanego!

Wielorakie zioła musiała zatopić hrabina w czystym spirytusie i zamykać w butelkach, nalewka przypominała wszystkie szlachetne owoce i zioła razem wzięte.

— Opowiedz mi coś miłego o twoim ojcu.

Usiedli na prostych ławach, przy drewnianym stole — krzyżaku, pod gołą żarówką. Gdzieś w tyle huczała wielka fabryka.

— Chętnie, zwłaszcza, że w momentach przełomowych widzę go najlepiej. Otóż ojciec mój co dwa lata maszerował do Rzymu wagonem sypialnym klasy pierwszej międzynarodowego ekspresu, ad limina apostolorum, sam rozumiesz, że Nałęczowie musieli, nie wypadało im inaczej. Poza tym zajmował się polowaniem, ale ambony strzeleckiej nie kazał sobie budować, odkrył znakomite stanowisko na drzewie, typowa pomysłowość charakteryzująca Nałęczów. Nie uwierzysz pewnie, ale swojego anonsera nauczył wspinać się na to drzewo, cudo absolutne a nie pies, gordon seter z angielskiej arystokracji, aportował jak anioł, wykrywał bez trudu każde babrzysko dzików, albo jeleni, zależnie od rozkazów ojca, a bałykował tak, że go prawie nie było. Dzięki niemu, a wabił się Sussex, ojciec zabił badylarza wielkiego jak smok.

— Upiłeś się Nałęczu jednym kielichem kryształowym z blachy, twój ojciec nie strzelał przecież do właścicieli inspekt.

— O tempora! Czuję, że jestem naprawdę ostatnim z wielkich nauczycieli, którzy jeszcze wiedzą, jak się chodzi na grubego zwierza. Badylarz jest to byk łosia, bardzo rzadki proszę ciebie, ponieważ natura przyozdobiła go porożem jak wieniec jelenia, a czyni to bardzo niechętnie. O to chodzi.

Karol poderwał się i skoczył do drzwi.

— A propos chodzi, czy tu nie chodzi ktoś niepowołany?

— Mój dyżur, ja to sprawdzę!

Nałęcz wybiegł ze stróżówki. Magazyny i składy fabryczne, otoczone wysokim murem z czerwonej cegły, zajmowały rozległą przestrzeń. Bele wełny, bawełny i najcenniejsze maszyny pod dachami, reszta pod gwiazdami. Po maszyny, skradzione przez hitlerowców, jeździły po całej Europie specjalne ekipy poszukiwaczy, robotnicy i inżynierowie. Karol widywał czasem ich triumfalne powroty. Szły najpierw ostatnie już ciężkie perszerony, ciągnęły odzyskane warsztaty, turbiny, motory, czasem charczały ciężarówki, gromadzili się ludzie, witali te powroty brawami. Nałęcz wrócił po kwadransie.

— Mam psi węch, po ojcu ma się rozmieć, biba trwa mój drogi, żywego ducha tutaj nie uświadczysz, same bele, motory, zegary i smary, oraz bawełna przeznaczona na gustowne majtki dla naszych...

— No, to zdrowie naszych pań. Opowiadaj dalej, ja bajki tak lubię ogromnie.

Pracę nocnych stróżów wykombinował Nałęcz i z miejsca pomyślał o Karolu, który szukał spokojnego kąta i pracy, ale marnie mu to szło. Studenci, którzy podobnie jak Karol czy Nałęcz, nie mogli liczyć na stypendia jako dzieci nie nazbyt dobrze widzianych rodziców, musieli sami zarabiać na swoje utrzymanie. Brali się do łopat, trafiali do restauracji jako zmywacze, wynajmowali się do pilnowania dzieci w godzinach wolnych od ćwiczeń, udzielali korepetycji, bywali bileterami w kinach, prowadzili księgi kasowe dorobkiewiczom wszelkich branż, warowali nocami w szatniach, cenili pracę nocną, a zwłaszcza stróżowanie. Można było przespać się trochę w miłym ciepełku, pośleczeć nad skryptami, a komorne nic nie kosztowało.

— Przed samą wojną przeszedłem chrzest myśliwski. Bardzo miły i estetyczny obyczaj, oblewają ci twarz zajęczą juchą. Ładne, prawda?

— Przede wszystkim gustowne. Co daje człowiekowi taki chrzest?

— Wolno spokojnie polować. Nieważne, grunt to trafić na ciąg kaczek albo gęsi na żerowisko.

— A co najtrudniej kropnąć?

— Cieciorkę, czy samicę cietrzewia, a już najtrudniej ciotę.

— Święte słowa, cioty są niezniszczalne!

— Masz złą ciocię?

— Nie tyle złą, co szkodliwą. Jestem pewien, że mi przeszkodzi nawet w karierze nocnego stróża.

— Darzbór, życzę ci powodzenia, może ci się ją uda otruć, a wracając do kaczek — jak ci taki młodziutki klapak pojedzie przed nocą skrzydłami po wodzie, istny cud natury, a gdzieś w lesie zagra kniejówka na koniec łowów, serce ściska żal, że trzeba zawiesić strzelbę na ramieniu, pożegnać las na rzecz wódki i bigosu, choć to także dobre... nie masz pojęcia ile u nas było kaczek: krzyżówka, cyranka, krakwa, płaskonos, rożeniec, świstun, gogoł, głowienka, trafiały się nawet kaczki hełmiaste i podgorzałki. Pod gorzałkę mamy teraz kaszankę, a z kaczek wyłącznie dziennikarskie, trzeba było oddać strzelby, kolego. Ach, gdzie się podziały te cudne wieczory, człowiek nie stary a już wspomina!

— Należymy do najmłodszych wspominających utracone raje. Prawidłowość historyczna.

— Nie ma powrotu, Nałęcz ci to mówi. Zmieniliśmy grupę społeczną, należy nas teraz sklasyfikować jako fizycznych pomocników proletariatu.

— Nie zgadzam się, jesteśmy umysłowi.

Słuchali przez chwilę głuchego stuku maszyn, praca w fabryce nie ustawała ani na chwilę, dzień i noc. Karol sięgnął do zeszytu, w którym notował najważniejsze wydarzenia, swoje przypadki, cudze złote myśli, swoje zresztą też jeśli się trafiły, uwagi krytyczne o stanie kraju, zapisywał także co komu jest winien i ile mu jeszcze pozostało w prywatnej kasie.

— Hrabio Nałęczu, zaprawdę powiadam ci, że ta fabryka ma większą przyszłość niż polowanie na kaczki. Liczy się albowiem ta instytucja, która konstruuje ludzki los, rozwiązuje go. Posłuchaj uważnie — dzień i noc pracuje koło nas już ponad tysiąc pięćset motorów, albo inaczej dwadzieścia pięć tysięcy koni mechanicznych. Ile koni posiadał Nałęcz senior?

— To zależało od sezonu i koniunktury, przeciętnie koło trzech setek.

— Stróżujesz więc hrabio we włościach o jakich ci się nie śniło, mnie też nie. Cholerna potęga! Dwa turbogeneratory o mocy dziesięć tysięcy kilowatów każdy poruszają tysiąc pięćset warsztatów tkackich i ponad dwieście tysięcy wrzecion.

— Mnie to też porusza, przyznaję. Potęga!

— To maleństwo zużywa codziennie trzydzieści wagonów węgla i zatrudnia dziesięć tysięcy ludzi, a to jest więcej narodu niż w moich Chęcinach, Staszowie i Bodzentynie razem wziętych. Samym płótnem utkanym w ciągu jednego dnia można wyścielić drogę z Łodzi do Warszawy, a całą produkcją dobową da się pięć razy opasać kulę ziemską. Hrabio, pilnuj dobrze tych skarbów, one także należą do ciebie jak donosi teraz poinformowana prasa.

— Przekonałeś mnie, wypijmy za dobrą służbę. A moją część tej fabryki możesz sobie wziąć na zawsze, jestem nieprzejednanym dzieckiem natury i antyurbanistą, chociaż ciężką pracę to ja szanuję.

Nie wypili tym razem. Nałęcz odłożył blaszany kubek i nastawił uszu.

— Szkoda przerywać, gdzie teraz szukać takiej nalewki, ale ktoś się dobiera do naszych skarbów, pewnie obce klasowo elementy. Słyszysz?

Zastygli obaj na chwilę i rzeczywiście usłyszeli delikatne skrzypienie drzwi magazynu głównego. Nałęcz poprawił ubranie, podciągnął krawat, przyczesał starannie włosy. Wyglądał jak złoty młodzieniec z końca ubiegłego wieku, który wybiera się właśnie na bal.

— Do gości wychodzi się w przyzwoitym stanie. Nie wiedzą, że nas jest dwóch i w tym cała nasza szansa. Ja ich przywitam a ty biegnij zaalarmować strażników.

Wyskoczył ze stróżówki nim Karol zdołał cokolwiek powiedzieć. Wariat z Nałęcza, zagończyk i samobójca, tak się na wroga nie idzie, złodziej nie kaczka. Zawiadomić strażników? Należałoby w takim razie biec przez cały plac składowy i to boczkiem, chyłkiem, a więc najdłuższą drogą. Nim dobiegnie tamci załatwią Nałęcza. Chwycił laskę któregoś ze swoich poprzedników i zgięty wpół wymknął się ze stróżówki. Wydawało mu się przez chwilę, że powrócił tamten czas, niedaleki przecież, rok, dwa, nie więcej, uzbrojony w karabin, dwa granaty idzie na nocne rozpoznanie. Przykucnął za starymi pordzewiałymi kotłami i wyjrzał ostrożnie — drzwi magazynu głównego były otwarte. Są w środku — pomyślał — ilu ich może być? Gdzie się podział Nałęcz? Wiał ostry wiatr, kołysał lampami, cienie wysokich słupów tańczyły na ścianie magazynu. Przebiegł szybko otwartą przestrzeń i przykleił się do pustych skrzyń. Położył się na ziemi i wychylił głowę. W drzwiach magazynu stał teraz jeden z tamtych i rozglądał się uważnie. Co z Nałęczem? Uciekł? Nie, to nie w jego stylu. Przyczaił się pewnie w magazynie. Jak mu pomóc? Czołgał się powoli w stronę bocznej ściany magazynu. W połowie drogi usłyszał spokojny, lekko drwiący głos Nałęcza.

— Rączki do góry, przyjemniaczki!

Karol poderwał się błyskawicznie i skoczył w stronę drzwi. Tamtego już nie było. Usłyszał dwa wystrzały, głuchy stuk porzucanych worków, trzech mężczyzn wpadło na niego tuż przy drzwiach. Poczuł uderzenie w skroń i zwalił się na podłogę. Przytomność odzyskał w stróżówce, nie odzyskał jednak równocześnie pełnej zdolności kojarzenia, łączenia obrazów i słów w logiczną całość.

— Nic mu nie będzie — to lekarz, na pewno lekarz, któż inny mógłby paradować po stróżówce w białym fartuchu ze słuchawkami na piersiach?

— Dzielne chłopaki, studenci towarzyszu sekretarzu, są u nas na godziny, dorabiają sobie na życie, trzeba ich podać do premii — to komendant straży.

Karol przypomniał sobie w tym momencie jego słowa, kiedy przyjmował ich do pracy — a nie spać za dużo, chłopaki, czuwać, majątek duży, do piecyka sobie dokładać, ale jak wy, chłopaki kochane, będziecie nas w razie czego alarmować, to ja tego nie wiem, telefonu te miglance jeszcze nie założyli w stróżówce, broni nie dostaniecie, możecie sobie postrzelać grochem.

— Proponuję kropnąć po jednym za zwycięstwo nad niedobitkami czarnej reakcji — Nałęcz, a któż by inny? Karol przyglądał się koledze z pewnym wzruszeniem, co za fason, nawet się nie zakurzył. Napełnia kubki, przygotowuje zakąski, jakby się nic takiego nie stało, zwykłe zwycięstwo nic więcej.

— Trzeba, towarzysze, ustalić kto strzelał? Ja to muszę wiedzieć!

Karol podniósł obolałą głowę, dziwny facet, widać od razu, że dawno nie leżał w łóżku, oczy wpadnięte, pali jednego za drugim, nawet nie kończy porządnie papierosa.

— Bandyci strzelali, towarzyszu sekretarzu, a kto miał strzelać? Biedni studenci? Rąbnęli po ciemku swojego, człowiek strzela, a kto kule nosi to towarzysz sekretarz sam wie.

— Bandyci strzelali do siebie, powiadacie, a stróż nocny dostał łomem? Coś mi się tutaj nie zgadza. Prowadźcie śledztwo, zgłoście napad gdzie trzeba, wypić można po służbie, ale po co?

Komendant odłożył kubek bez entuzjazmu. Karol jeszcze nie chwyta całości. Widzi, że sekretarz drapie się po głowie, coś mu się nie podoba. Nałęcz odkłada butelkę, wzrusza ramionami. Karol wie co ten gest mówi — też zawsze się musi znaleźć jakiś gówniarz, który psuje bibę. Komendant też drapie się za uchem.

— A co tu ustalać, towarzyszu sekretarzu, mienie społeczne ocalone, złodziei znajdzie milicja, ten ranny wyśpiewa. Chłopaki lepsze od aniołów, czujne jak brytany.

Sekretarz podchodzi do leżącego Karola, chce pewnie o coś spytać, ale lekarz nie pozwala, może nie teraz, stróż jest po ostrym szoku, musi wypocząć.

— Zgoda — powiada sekretarz — obaj są u nas na ewidencji, znajdziemy ich jak będzie potrzeba. No cóż, towarzysze studenci, dziękuję wam, czujność obowiązuje, chociaż muszę powiedzieć, że takich stróżów to ja jeszcze nie widziałem, a przecież siedzę już w tej fabryce dwadzieścia lat.

Stróżówka opustoszała, został tylko Nałęcz.

— Możesz usiąść?

— Chyba tak, spróbuję.

— Kropnij sobie, to przywraca przytomność umysłu, niezbędną w naszej sytuacji.

— Jakiej sytuacji?

Karol wypił pół kubka i rzeczywiście poczuł się znacznie lepiej. Nałęcz pakował walizkę.

— Wyjeżdżam, ty nie musisz.

— A dlaczego ty musisz?

Nałęcz wyciągnął rewolwer z tylnej kieszeni.

— To ja strzelałem, musiałem, inaczej by cię zatłukli. Nie mogę się uwolnić od tej pukawki chyba od czterdziestego drugiego, jak mi ją przydzielili, gdzie ja, tam ona, a nam — jak wiesz — strzelać zakazano. Sekretarz ma jednak nosa, jakby mnie przyskrzynił, to by najpierw kazał trzymać w przyzwoitej odległości od klasy robotniczej, a potem pewnie chciałby wysłać do jakiegoś dormitorium na kilkuletnie rozmyślania.

— Nie znajdzie nas, nasze adresy są już nieaktualne, my nigdzie nie mieszkamy. Pomożesz mi opuścić ten zaciszny posterunek?

— Z przykrością. Dobrze nam tu było, co?

Fragment przygotowanej do druku powieści pt. „Drugi brzeg".

PIŁKA NOŻNA

KWADRANS ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

„Większość wolała grać z nabitymi nogami, masaż przed meczem rozluźniał ich i rozkładał..."

Dalszy ciąg ze str. 1

Zlazłem z pryczy lekki i naszpanowany, bo ten koks od doktora zaczynał dopiero działać. Nie zważając na coacha odpaliłem się w otwartym oknie. Potem szybko włożyłem fioletowe getry, które trzymały się pod kolanami nie na gumie hamującej dopływ krwi, a na zwykłych luźno ściągniętych tasiemkach. Z kołka, nad którym wisiała tabliczka z moim nazwiskiem, zdjąłem związane sznurowadłem buty. Jeszcze przed godziną padał deszcz, więc po krótkim namyśle wziąłem z szafki klucz i wymieniłem skórzane korki na stalowe, przykręcając je solidnie jeden po drugim, do podeszew. Na rozmokłej murawie metalowe korki lepiej trzymają się gruntu.

Dwadzieścia po piątej Cygaro dał znak i zaczęliśmy wychodzić z szatni, która cuchnęła skórą, gumą, potem i karbolem, na korytarz, który był wąski i mroczny. Po obu stronach korytarza mieściły się biura, toalety, natryski i pokoje gościnne. Dalej korytarz skręcał w lewo i urywał się na progu sali gimnastycznej, gdzie czekało zawsze wielu działaczy, kibiców, starych, sławnych niegdyś piłkarzy, trawionych tęsknotą za boiskiem, i malców próbujących zdobyć ten czy inny autograf. Po minięciu sali znowu szło się korytarzem, którego krańcowe, strzeżone przez policjanta drzwi wychodziły już prosto na stadion. Prądy zimnego wiatru i wilgotnego powietrza wdzierały się przez nie w nagrzaną atmosferę budynku. Cygaro podążał przodem, a my za nim, terkocząc korkami na wylanej betonem podłodze. Nim Cygaro zdążył przekroczyć próg, jakiś kobiecy głos z głębi wezwał go do telefonu.

Cygaro był wściekły i wrzasnął:
— Kto?!
A ten głos odwrzasnął:
— Patron!

Cygaro zawrócił, a my: jedenastu facetów w kostiumach, czterech rezerwowych w dresach, asystent coacha, doktor Sommer i Węzeł, weszliśmy na płytę.

Powitały nas, jak zwykle, oklaski i gwizdy. Na trybunach, które mogą spokojnie pomieścić osiemdziesiąt tysięcy, było mniej więcej trzydzieści. Trochę dopływało jeszcze wszystkimi sześcioma sektorami. Inter rozgrywał się pod prawą, zachodnią bramką. Grupka małoletnich kibiców ze środowisk lumpenproletariackich i robotniczych okupowała środek boiska, powiewając fioletowoczarnymi flagami klubu i odprawiając rytualne modły za hasz sukces. Spiker zawodów podawał przez megafon składy obydwu drużyn: najpierw gości, potem gospodarzy. Kiedy padło moje nazwisko, zerwała się wrzawa oraz trochę pojedyńczych gwizdów.

Zrobiłem kilka skłonów i krótki bieg w miejscu. Dwa razy zdążyłem kopnąć łaciatą, biało-czerwoną, wyraźnie przepompowaną piłkę. W chwilę później asystent coacha, Michał Rębas, zawołał mnie po imieniu. Idąc w stronę ławki, która stała wzdłuż linii autowej z przeznaczeniem dla trenerów i rezerwowych, patrzyłem poprzez dwumetrową, drucianą, oddzielającą widownię od boiska siatkę, w trybuny. Na wprost linii środkowej była loża prasowa, wyposażona w składane pulpity i telefony, a dziesięć rzędów wyżej — hermetyczne, oszklone kabiny sprawozdawców radiowych. Na prawo od kabin stał betonowy podest dla kamery telewizyjnej, której zresztą tego dnia zabrakło. Tuż pod nim, w krytej części stadionu, znajdował się SEKTOR WAŻNIAKÓW, a jeszcze niżej, za czerwoną barierą, SEKTOR PRZYJACIÓŁ, w którym miały prawo zasiadać piłkarskie żony i kochanki, piłkarscy bracia, kuzyni, teściowie, szwagrowie i kumple.

Podchodząc do ławki stwierdziłem, że Sylwii nie ma.

Zaraz też spotkał mnie kolejny zawód.

— Pokaż łydkę — bąknął coach.

Zdziwiłem się. Spojrzałem na Sommera, dłubiącego zapałką w paznokciach i na Węzła, który utkwił wzrok w murawie.

— W porządku, szefie — mruknąłem.

— Pokaż!

Zsunąłem pończochę z lewej nogi, a on, nie wyjmując zaślinionego cygara z zębów, odmacał mi pobieżnie blady, tęczujący siniec po wślizgu i zawyrokował, jakby miał o tym pojęcie:

— Wygląda fatalnie.
— Mogę grać — powiedziałem.
— Szkoda cię na ten mecz.
— Mogę grać — powtórzyłem.

Widziałem kątem oka jak trzech ubranych na czarno sędziów zbliża się paradnym krokiem do środka placu. Główny niósł pod pachą piłkę a dwóch bocznych trzymało w rękach zielone chorągiewki. Megafon wyskandował głośno ich nazwiska. Główny ustawił piłkę na kredowej plamie i gwizdnął, podczas gdy boczni zrobili zwrot na pięcie i rozeszli się wzdłuż linii środkowej do autów. Inter wybiegł do powitania, prowadzony przez rudego, krępego Dawida, za którym sunął dwumetrowy bramkarz i dziewięciu pozostałych, coraz to mniejszych zawodników. Krzyknęli w obie strony swoje: Hoh! Hoh! Potem w dziesiątkę wylecieli nasi.

Patrzyłem coachowi w oczy i czekałem na odpowiedź. Niespodziewanie udzielił mi jej grzmiący głos spikera:

— Uwaga! Ze względu na kontuzję Maksymiliana Dragana, oznaczonego numerem jedenaście, na pozycji lewoskrzydłowego wystąpi Robert Babinow!

Rozległ się długi, przeciągły gwizd. Bobas spojrzał na mnie przepraszająco swoimi naiwnymi niebieskimi oczami dziecka. Przepraszająco i jednocześnie z wyrzutem. Było chłodno i sutki sterczały mu przez koszulkę. Wyskoczył na boisko, aż pękał od rozwiniętych ponad miarę mięśni. Miał dziewiętnaście lat, był surowy i palił się do gry, tak jak każdy z nas, starych repów, palił się w jego wieku, wierząc jeszcze w sportowe ideały — w uczciwą walkę, w barwy klubowe, których nie zmienia się za pieniądze, w lekarza, w coacha, w patrona, w publiczność i dziennikarzy.

Ogarnął mnie wstyd na myśl, że nie jestem już taki młody. Wziąłem od gońca dress, włożyłem fioletową bluzę i czarne spodnie. Usiadłem na ławce pomiędzy Sommerem a Węzłem. Węzeł miał w zewnętrznej, płytkiej kieszeni dressu paczkę algierskich Afrasów. Nie pytając, wyciągnąłem z niej papierosa o zbitym, czarnym tytoniu, a on podał mi w skulonych dłoniach ogień. Zaciągnąłem się głęboko próbując złagodzić gorycz niespodzianki. W gruncie rzeczy nic się nie stało. Oszczędzają mnie, szanują. Nie chcą, żebym narażał szczudła w kopaninie z zespołem, któremu grozi spadek. Jestem przecież kadrowiczem, etatowym Skrzydłem Narodu. Kazan potrzebuje moich zdrowych nóg na mecz z Niemcami, a Cygaro też ma jeszcze przed sobą, i to za tydzień, prestiżowe starcie z Fortuną w ostatniej kolejce sezonu.

Wdeptałem niedopałek w żwir i śledziłem drętwą grę. Myśl, że sprawa śmierdzi, nie przyszła mi nawet do głowy. Kilkakrotnie zerknąłem przez ramię na SEKTOR PRZYJACIÓŁ. Dzwoniła w piątek, że przyjedzie. Może nawalił jej wóz? Albo zatrzymała ją matka. Miałem dla niej upominek za pół patyka, złote cacko, które chciałem jej wręczyć podczas kolacji w Cristalu, gdzie przezornie zamówiłem dwuosobowy stolik.

Zamknąłem oczy, a potem otworzyłem je na boisko. Dawid sunął środkiem. Powoli, rozważnie, przystając co parę kroków. Wreszcie podał Teterowi, który momentalnie wyłożył się na Mollu i piłka opuściła płytę. Chłopiec w dressie podniósł ją z bieżni i rzucił Krauzemu. Z trzydzieści sekund minęło, nim Krauze raczył wykonać aut. Dreptał wzdłuż linii z rękami wzniesionymi nad głową, żamierzał się to w jedną stronę, to w drugą, ni stąd ni zowąd rezygnował, i znowu dreptał medytując, kogo by tu ewentualnie zatrudnić. W rytm jego ruchów tańcowali także zawodnicy, a kiedy piłka padła w końcu na trawę, Jaros przedryblował pięć metrów i napierany przez obrońców palnął beztrosko w trybuny. I tak ciągle: rwące się ślamazarne akcje i auty, wolne w okolicach połowy i auty, zderzenia i auty, poślizgi i auty, faule i auty.

Rzygać!

Byłem naszpanowany, wierciłem się, nie mogłem usiedzieć na ławce. Rozgrzane mięśnie domagały się wysiłku, podobnie jak publiczność domagała się przyzwoitego widowiska. Zewsząd leciały szyderstwa i docinki. Jakiś gość wrzeszczał za moimi plecami: — Krauze, nie chlaj tyle, cwaniaku! Na rentę!

Do przerwy było jeszcze dziesięć minut. Żeby zabić czas, przyglądałem się chłopakom — próbowałem odgadnąć, który oprócz mnie dostał szpan. Pewnie Jaśkóła, jak dotąd całkowicie bezrobotny. Może Moll, chociaż sprawiał wrażenie, jakby wziął raczej trzy proszki nasenne. Koptas? Nie! Obrońca Interu robił go na skrzydle jak chciał... Więc kto? Krauze? Jaros? Pinokio...

W sprawie szpanu obowiązywała ścisła tajemnica. Tylko coach, Węzeł i Sommer wiedzieli na pewno. Coach decydował, wybierał przed meczem trzech — czterech, a Węzeł z Sommerem mieli głos doradczy, przy czym doktor wsiadał rankiem w samochód i odwiedzał wybrańców w ich domach, pilnując, aby popili pigułki wodą, a i tak niejednemu zajrzał jeszcze w zęby. Na wyjazdach karmił nas w autokarze albo w ustępie, w każdym razie — zawsze gdzieś na boku. Obowiązywała zasada, że zawodnik, który dostał szpan, nie zwierzał się z tego kolegom. Nieraz pewnie bywało, że Moll był podkręcony, a ja nic o tym nie wiedziałem, tak samo jak on nie wiedział, że w tym samym czasie podkręcony byłem ja.

Sędzia odgwizdał przerwę. Widownia wstała, żeby rozprostować kości, piłkarze ruszyli bezładną kupą do szatni. Przeciwnicy wymieniali teraz zdawkowe uwagi, poklepywali się jak najlepsi koledzy. Moll objął ramieniem Dawida, Krauze pokazywał atoperowi Interu rozorany korkiem łokieć. Z głośników ciekły beatowe kawałki. Sprawozdawca radiowy opuścił szklaną kabinę i wszedł do loży prasowej, gdzie kilkunastu zziębniętych reporterów toczyło ożywioną dyskusję. Nerwowy, wścibski Meisner, szef działu sportowego lokalnej popołudniówki, wymachiwał gwałtownie notesem, wykrzykując raz po raz moje nazwisko.

Podążając za coachem, znowu zlustrowałem trybuny. Jakaś dziewczyna pokiwała mi parasolką, ale nie była to Sylwia. Spuściłem wzrok i szukałem w niższych rzędach, a potem jeszcze, na wszelki wypadek, w SEKTORZE WAŻNIAKÓW. I wtedy właśnie miałem ten błysk.

Zrazu nic konkretnego, ot, jakieś mgliste przeczucie... podejrzenie.. diabli wiedzą, jak to nazwać.... W każdym razie gość rzucał się w oczy. Siedział, podczas gdy inni stali; na kolanach trzymał dużą, skórzaną, ni to męską ni damską torbę. Obok niego mignął mi jeden z trzech sekretarzy Patrona.

Wchodząc do szatni, zdążyłem już o nim zapomnieć, ale po przerwie, wracając na ławkę, znowu rozejrzałem się za Sylwią i znowu sięgnąłem go wzrokiem. Modny, czekoladowy garnitur, pasiasty krawat, twarz pociągła, przystojna, dość ordynarna, jak to u notorycznych bywalców stadionów, spalona na brąz, który zdawał się urągać wszystkim, co korzystają z urlopów raz w roku. Potrafię rozszyfrować te twarze, podobnie jak przestępca rozszyfruje zawsze twarz tajniacką. No i ta torba... żółta, połyskująca wsuwanym zatrzaskiem z dziurką na kluczyk, przymocowana zwisającą luźno bransoletą do przegubu. Siedział między sekretarzem i jakimś niepozornym, strasznie ruchliwym człowieczkiem. Tuż za nim zobaczyłem obstawę Starego, kilku drągali, którzy nie nosili wprawdzie gnatów, ale za to każdy trzymał pod pachą tulejkę gazu łzawiącego, i to nie żadną miniaturową SELF-DEFENSE w sam raz dla cnotliwej panienki, tylko policyjny rozpylacz, zdolny rozłożyć lub uśpić pół stadionu.

Obstawa często bywała na meczach, nawet wtedy, gdy Patron zostawał w domu. Lubili piłkę, ich obecność, tak samo zresztą jak obecność sekretarza, nie była czymś nadzwyczajnym. Tyle, że ustawili się tak planowo, koliście, wokół torby... I że Cygaro tak spokojnie przyglądał się grze...

W następnym odcinku wyjaśnią się wątpliwości Maksymiliana Dragana, ale opowieść o piłce nożnej na tym się nie kończy.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

PLASTYKA

ANDRZEJ MAJER

GALERIA PUCHATKA

„W cepeliowskim słoneczku kwiatek gnie się do kwiatka, to ulica Kubusia Puchatka" — taki właśnie fragment piosenki nuciłem sobie otwierając drzwi najnowszej łódzkiej galerii pod nr 24 przy ul. Andrzeja Struga. Dla Misia Puchatka zawsze miałem sporo sentymentu, natomiast cepeliowskie słoneczko promienieje od pobliskiego sklepu z ludowymi makatkami. Z drugiej strony jest nieco gorzej: spożywczy detal i garnki. Czy ma to dla galerii jakieś znaczenie? Z całą pewnością nie, ale świadczy dobitnie, że jest to placówka mocno osadzona w realiach, zbliżona do życia i prostego człowieka. Witryna retro kojarzyć się może wtajemniczonym z zakurzonym sklepikiem ojca Tanguy — dobrotliwego marchanda paryskich impresjonistów: resztę po prostu intryguje i zmienia w gapiów zaglądających co chwila poprzez wąskie szyby do środka. Kto odważy się nacisnąć klamkę i wejść (a może zrobią człowieka na szaro...) nie pożałuje, bo i tu zobaczy solidnie skompletowany wystrój z umeblowaniem retro. Jest więc pakowna szafa babuni i dziadkowe biurko a na ścianie kolekcja barwnych motyli. Co tu dają? Otóż wszelkie wyroby artystyczne, unikatowe, nietypowe i niepowtarzalne produkcji studentów i świeżo upieczonych absolwentów łódzkiej PWSSP — oddawane w komis, oceniane przez wysoką komisję d/s artystycznych, a oferowane przez sympatyczne panie o szarży magistra sztuki. Na początek serwują tu jedynie dreszczyk emocji spotkania z niewiadomym lecz jak zapewniają z optymizmem pierwsze łódzkie marchandki (sic!) interes szybko się rozkręci. Opiekę i patronat sprawuje na własne ryzyko Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych i Studencka Spółdzielnia „Puchatek", z czego wynikają liczne korzyści, mianowicie: galeria mimo wyraźnie koleżeńskiej atmosfery ma pieczątkę i księgowość (to rozumiem!), studenci nie muszą marznąć sprzedając swoje dziełka gdzieś przed „Magdą" czy na ławkach w pasażu i mogą się przy tym nieźle podreperować finansowo — tym samym ustrzec komercyjnego chałturzenia na normalnych puchatkowych zleceniach. Natomiast my, tzn. łodzianie z odrobiną wyobraźni, koneserzy, ludzie poszukujący np. niebieskiego widoczku pasującego do kompletu HETMAN, a wreszcie snobi i sympatycy studentów-artystów będziemy mogli niczym w prawdziwym boutique przy londyńskiej Carnaby Street zaopatrzyć się tu w różne ciekawostki.

Ponadto Galeria Puchatka zamierza urządzać wystawy malarstwa i grafiki (na początek pokazano prace Jana Cuchry-Cukrowskiego); co prawda ze względu na szczupłość miejsca wystawy mogą kojarzyć się ze znanym dowcipem o teatrze jednego aktora i jednego..., mniejsza zresztą o szczegóły, jest w każdym razie program upowszechniania poważniejszej sztuki.

Podzielam optymizm prowadzących Galerię — boutique zapaleńców, na początek przynajmniej ludzie walić tu będą jak w dym. Pomysł sam w sobie nie jest z gatunku nowości, ale na łódzkim gruncie zaskakująco prosty i atrakcyjny. Skoro kształcimy projektantów odzieży, tkanin, biżuterii i grafików właśnie w Łodzi — zatem możliwość konfrontacji (i to autentycznej) podaży ich produkcji z popytem może okazać się lepszym sprawdzianem niż naukowe dysertacje. Nie wiem tylko czy na długo starczy zapału, bowiem w przedsięwzięciu tkwi niemałe ryzyko. Co do mnie: nie obawiałbym się plajty wskutek małego zainteresowania i nie przeraża mnie ewentualna komercjalizacja (z oczywistych względów) ambitnie zapowiadającego się sklepiku, to znaczy że np. zaleją go wkrótce siatkowe żyrandole o przeraźliwie jaskrawych kolorach czy nieudolnie podpalane ikony (maksimum zysku przy minimum nakładów). Jeśli ma się zaszmirzyć sympatyczna Galeria Puchatka — trudno; bardziej to humanitarne wobec kolejnych entuzjastów z PWSSP uczyć się na konkretnych błędach niż trzymać każdą portmonetkę czy pasek — dziełko dojrzałego niemal artysty plastyka — na muszce wysokiej komisji artystycznej. Chodzi chyba o to, by właśnie tutaj — w najmłodszej i jedynej galerii „na luzie" nie panoszył się zbytnio duch magisterium sztuki. Spodziewam się, że podobnie będą patrzyli na nią sami zainteresowani. Póki co — radzę zajrzeć (choćby przez zwykłą ciekawość) pod nr 24 do Puchatkowej Galerii.

POD ZNAKIEM ARCHITEKTURY

Łódzkie Muzeum Sztuki urządziło wystawę architektury jednego z najsławniejszych Japończyków — Araty Isozaki. Ma ona charakter laboratoryjnego pokazu metody projektowania i zasad budowy form: kilkanaście precyzyjnie drukowanych płyt ze zdjęciami realizacji i odautorskim opisem ma za zadanie przekonać widza o istnieniu realnych związków pomiędzy obszarem wyobraźni a konkretnym obiektem. Isozaki czerpie z tradycji wiekowego dorobku cywilizacji swobodnie, jakby wzorując się na młodzieżowej pop-kulturze lat sześćdziesiątych. Inspiracji dostarczają mu zarówno buddyjskie diagramy jak poetyka opowieści o Alicji w Krainie Czarów czy falowanie włosów Marylin Monroe; znaki kaligraficzne lub grecki „złoty podział". Prowadzony przez architekta widz istotnie odnajduje wszystkie zależności a swoboda, z jaką Isozaki kształtuje swoje budowle może budzić prawdziwe uznanie.

Bardziej jednak zastanawia fakt, że Japończyk najczęściej posługuje się nowoczesnymi, prefabrykowanymi elementami i w pełni respektuje prawa ekonomii — mimo to osiąga za każdym razem odmienne efekty. Poprzez swoje realizacje udowadnia, że nowoczesna i oszczędna technologia może kojarzyć się ze sztuką — jest to bowiem (jak w ciągu tysięcy lat historii ludzkich budowli) zawsze sprawa inwencji i skali wysiłku projektanta.

Jakby dla kontrastu Muzeum Historii Miasta Łodzi prezentuje twórczość łódzkiego architekta Aleksandra Zwierko. Zadaniem skromnej objętościowo wystawy jest zbliżenie sylwetki projektanta większości łódzkich wieżowców; identyfikacja przeobrażeń miasta z konkretnym nazwiskiem. Zwierko jest współautorem tzw. „łódzkiej metody wznoszenia budynków wysokich URT" — spełniającej wymagania wszystkich obowiązujących u nas normatywów i dostosowanej do możliwości technologicznych. System URT jest także próbą konkretnej odpowiedzi na pytanie o przyszłość wielkomiejskiej architektury. W sytuacji, gdy chodzi o przekształcanie śródmieścia ciasno zabudowanej Łodzi — decyzja „pójścia w górę" z ilością pięter i kondygnacji, tworzenie wielofunkcyjnych gniazd (zespołów wysokich budynków biurowych i usługowych pawilonów) wydaje się być najwłaściwsze. Podobnie jak większość nowatorskich działań i przedsięwzięć również zabudowa ul. Głównej, rejonu Traugutta czy Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej projektowana przez Aleksandra Zwierko nie jest dziełem doskonałym. W estetycznych kategoriach oceny jej główną wadą jest zapatrzenie w doświadczenia „międzynarodowego stylu" Miesa van der Rohe czy nowojorskiego Lever House, upodobnienie do warszawskiej Ściany Wschodniej. Nie ma tu mowy o bezpośredniej zależności, a wszelkie różnice stają się łatwo czytelne dla architektów. Niemniej piętrzące się w górę wieżowce nowego łódzkiego centrum przypominają zbytnio wiele podobnych zespołów na całym świecie. Być może zresztą można to uznać za ich zaletę.

Dość przypadkowa zbieżność dwu wystaw architektury (od lat nie notowana w Łodzi obfitość) siłą rzeczy prowadzi do konfrontacji. Romantyczna i betonowa równocześnie architektura Isozaki nie przeciągnie chyba na swoją stronę sympatii widzów — wiemy bowiem doskonale, że powstaje w biegunowo odmiennych warunkach niż projekty Zwierko. Łódzki architekt cieszy się zasłużonym uznaniem i autorytetem jako jeden ze współtwórców „łódzkich przemian". Mimo wszystko — odwaga i swoboda Japończyka mogą być dla naszych twórców inspirujące. Rzecz w tym, by po prostu architektura nowej Łodzi była jeszcze piękniejsza i doskonalsza.

OŚWIATA

EUGENIUSZ IWANICKI

PARLEZ VOUS FRANÇAIS?

Ponoć Polacy są narodem posiadającym predyspozycje do nauki języków obcych. Tak by się wydawało, gdyby wziąć pod uwagę ilość uczestników kursów organizowanych przez MKPiK czy ZNP. Ludzie uczą się. Z różnych powodów i przyczyn wkuwają gramatykę i teksty angielskie, niemieckie, rosyjskie czy francuskie. Są to uczniowie z własnego wyboru. Czy zawsze ta nauka przynosi oczekiwane rezultaty?

Mnie jednak bardziej interesuje sprawa tych, którym naukę języka obcego narzuca obowiązek szkolny. Tu wybór nie istnieje. Uczeń musi się uczyć czy chce tego czy nie, bowiem program szkoły przewiduje obok języka rosyskiego np. niemiecki, choć w szkole podstawowej uczył się przez parę lat angielskiego. Praktycznie więc ma on w szkole średniej cztery lata na opanowanie języka, z którym dotąd się nie stykał. Jeśli trafi do szkoły, gdzie wykłady języków obcych odbywają się za pomocą tradycyjnego podręcznika — to w większości takiego ucznia można spisać na straty. Chyba, że...

Właśnie. Są szkoły średnie, gdzie obok tradycyjnego nauczania istnieją klasy o poszerzonym programie języka obcego. Do takich należy XIII LO im. Marii Piotrowiczowej, jedyne liceum, gdzie język francuski jest być może ważniejszy niźli reszta przedmiotów. Co roku klasa pierwsza A zostaje objęta metodą audiowizualną. Nie ma tu podręczników w tradycyjnym znaczeniu: książka „Voix et images de France" — to zbiór setek obrazków przedstawiających codzienne życie przeciętnych Francuzów, państwa Française et Michel Thibaut oraz ich dzieci Catherine et Paul. Uczniowie siedząc w laboratorium języka francuskiego muszą dokładnie przyjrzeć się poszczególnym sytuacjom i... zapamiętać zarówno dialogi jak i czynności wykonywane przez narysowane postacie. Praktycznie więc w ciągu seansu m u s z ą przyswoić określoną ilość słów, zwrotów a także wymowę. Lekcje francuskiego są codziennie (w I i II klasach — 7 godzin tygodniowo, w III i IV — po 6), więc praktycznie trzeba wykazać się nie lada pamięcią, by na bieżąco nadążyć za programem. (Dla kontrastu: w klasach tradycyjnego nauczania I i II klasy mają po 4 godziny tygodniowo, a III i IV po 3).

XIII LO w zasadzie jest dość dobrze wyposażone w urządzenia do nauki języka francuskiego (filmy, taśmy magnetofonowe z dyktandami), można więc natychmiast korygować błędy wymowy, gramatyczne czy stylistyczne. Oczywiście, do ideału jest daleko. Często wykładowca musi korzystać z własnych kontaktów zagranicznych by móc sprowadzić diapozytywy, piosenki czy pisma ilustrowane. Nie są bowiem w Łodzi praktycznie do zdobycia ilustrowane tygodniki francuskie (prędzej można sprowadzić je z Warszawy czy Krakowa, niźli otrzymać w KMPiK). Broszurki pomocnicze do nauki języka francuskiego, jakie sprzedaje się w księgarniach, są mocno przestarzałe, od lat nie modyfikowane. Podobnie sprawa ma się z tekstami piosenek francuskich: dobrze, jeśli ktoś z nauczycieli nagra je na taśmę, a potem poda na lekcji. Teksów nie można kupić, a płyty długogrające są drogie.

Od lat paru klub „Polska" w Mulhouse w Alzacji dobijał się o nawiązanie kontaktów z którąś ze szkół średnich w Polsce. Mulhouse — to miasto włókniarzy, gros mieszkańców nosi polskie nazwiska, gdyż przybyli tu jeszcze w latach trzydziestych, w czasach wielkiego kryzysu. W końcu, poprzez ambasadę francuską w Warszawie, udało się tamtejszemu Liceum Technicznemu nawiązać współpracę z XIII LO w Łodzi. Przyniosło to obopólne korzyści. W tym roku grupa dzieci francuskich z wielkim rzecznikiem kontaktów polsko-francuskich Bernardem Romieu, opiekunem klubu „Polska", odwiedziła Łódź. Było to pierwsze spotkanie z ojczyzną ich rodziców. Część z nich mówiła po polsku, inni dopiero uczą się tego języka. Rabiega, Pawela... w ich domach do dziś utrzymuje się żywa tradycja polskości, natomiast Sosnowska czy Kwiatkowska nie umiały po polsku ani słowa. Część z tych dzieci należy do folklorystycznego zespołu „Polonia" występującego przed mieszkańcami Mulhouse.

Przyjazd do Polski to nie tylko konfrontacja marzeń z rzeczywistością, to także serdeczne kontakty z ludźmi, które przeradzają się w przyjaźń. Ale dla nich Polska, to przede wszystkim żywy język, jakże inny od tego, jakim posługuje się stare pokolenie Polaków z Mulhouse! Należy sądzić, że pobyt w kraju ojców dał im więcej niż setki godzin spędzonych nad polską książką w ich własnym domu we Francji.

Latem, uczniowie i wychowawcy z XIII LO z Łodzi rewizytowali swoich przyjaciół mieszkających nad Renem w ich Lycée Technique d'Etat Mixte. Zamieszkali w domach prywatnych, zdani na własne siły, jeśli chodzi o znajomość języka francuskiego, zmuszani do ciągłej konwersacji. Była to najbardziej owocna z lekcji. Dzieci skorzystały z niej dużo. Uwierzyły, że ilość wiedzy przyswojona w czasie godzin spędzonych w laboratorium ze słuchawkami na uszach jest kapitałem procentującym z nadwyżką.

Jeden z nauczycieli języka angielskiego, wykładający ten przedmiot w Mulhouse, powiedział do prof. **Krystyny Karskiej**, że jest zaskoczony tym, iż polskie dzieci nie tylko tak dobrze przyswajają język francuski, lecz że wykazują tyle chęci i zapału do jego opanowania. Anglik twierdzi, że na Zachodzie nie ma pędu do nauki języków obcych.

— **U was** — mówił — **jest odwrotnie. Wy macie uszy słowiańskie podatne na muzykę, stąd ta wasza łatwość nauczania się każdego języka w niezwykle krótkim czasie.**

W XIII LO język francuski wykładają: dr **Władysława Roszczyn, Krystyna Karska, Anna Korbik, Alicja Wawrzonek i Danuta Matuszewska.** Dzięki ich wysiłkowi i dobrej pracy pedagogicznej można dziś mówić, że absolwenci tego liceum, mówię o klasach A, tych z poszerzonym programem nauczania języka obcego, nabywają określonych predyspozycji pozwalających im na ubieganie się o przyjęcie na filologię romańską. Zresztą kontakty z Francją mają swój dodatkowy aspekt: od lat działa tu Koło Przyjaciół UNESCO, a w uznaniu zasług dla jego pracy absolwent XIII LO **Michał Bold** jako jedyny Polak został zaproszony do Belgii do udziału w międzynarodowych obradach UNESCO. Szkoła otrzymuje z tej organizacji wszelkie pomoce i materiały w języku francuskim, biuletyny, które następnie są opracowywane przez uczniów. Te kontakty, to także kontakty z językiem francuskim.

Pisałem, że XIII LO im. M. Piotrowiczowej jest jedynym tego typu w Łodzi. Jedynym, jeśli idzie o język francuski. Dlatego też przychodzi tu młodzież z całego województwa łódzkiego miejskiego, by po odpowiedniej selekcji znaleźć się albo w klasie o poszerzonym programie nauczania języka obcego, albo też trafić do klas tradycyjnych.

Tak więc w XIII LO istnieją realne możliwości, by przyswojenie języka francuskiego przez uczni było pełne, bowiem osobiste kontakty młodzieży polskiej i francuskiej są niezwykle poważnym suplementem do obowiązującego programu nauczania. Zresztą do tych kontaktów przywiązuje się wielką wagę, dążąc do tego aby z roku na rok obejmowały coraz liczniejszą grupę młodzieży.

Profesor **Krystyna Karska,** która udzielała mi informacji na temat form i metod stosowanych podczas nauki języka francuskiego, twierdzi, że żywego słowa, częstego kontaktu z Francją nic nie jest w stanie zastąpić. Każdy podręcznik, choćby najdoskonalszy, pozostanie zaledwie wskazówką, drogowskazem.

„...osobiste kontakty młodzieży polskiej i francuskiej są poważnym suplementem do programu nauczania..."

POLIGRAFIA

Fot.: Archiwum

TOMASZ SOLDENHOFF

Kto nada piękno polskim drukom?

Nie znam człowieka, któremu byłby obojętny drukarski kształt jego książki. Zwłaszcza młodzi autorzy roją o sugestywnych okładkach, ciekawych układach typograficznych, oryginalnej ilustracji, i w marzeniach wyprzedzają pomysły projektantów, które najczęściej nie są ani śmiałe, ani odpowiadające tematyce czy treściom książki.

Cierpią przede wszystkim tomiki poetyckie, ukazujące się w seriach, skazane na przymusowe podobieństwo do przyrodnich braci. Indywidualny, wewnętrzny obraz książki rozmija się ze stroną zewnętrzną, graficzną. Protestującym głośno zamykają usta przepisy: wydawnictwo zastrzega sobie prawo do okładki, a etatowy projektant już ostrzy ołówek, aby... na starym szablonie zmienić tylko tytuł i nazwisko autora. Plastyk zapraszany przez pisarza czy poetę jest ciągle źle widziany. W ten sposób śmiercią naturalną umierają pomysły na książkę niejednokrotnie bogatszą, pełniejszą, prawdziwie autorską.

Ambitniejsi autorzy coraz częściej „schodzą do podziemia", gdzie pod patronatem różnych instytucji społecznych, np. SZSP, w ramach „małej poligrafii" drukują książeczki, będące nieraz rarytasem dla bibliofilów. Oficjalne wydawnictwa bardzo rzadko wychodzą poza seryjnie powielany banał.

Pomysłowo, choć skromnie wydaje poetów wrocławskie **„Ossolineum"**, ale już np. **Wydawnictwo Poznańskie** grzeszy pretensjonalnością i zgoła niepotrzebną rozrzutnością (natrętne przerywniki i ornamenty graficzne).

Te cierpkie uwagi nie znaczą oczywiście, jakoby polskich wydawnictw nie stać było na pomysłowo opracowaną książkę czy nawet serię. Ale pojedyńcze osiągnięcia nie zastąpią ogólnej monotonii i anachroniczności książkowej grafiki. Dotyczy to zresztą także wydawnictw prasowych.

Jeżeli jednak coś się w ostatnim czasie w tej dziedzinie zmienia w Łodzi, to duża jest tu zasługa **Pracowni Projektowania Typograficznego na Wydziale Grafiki PWSSP w Łodzi,** której, choć istnieje dopiero 4 rok, udało się przekazać do realizacji niejeden ambitny, nowoczesny projekt książki czy gazety na wysokim poziomie. U nas o tych ludziach mówi się i pisze niewiele, a tymczasem cieszą się szacunkiem najlepszych ośrodków typograficznych za granicą. Mało też kto wie, że do tych najwybitniejszych sami są już zaliczani, obok podobnych w Moskwie, Pradze, Londynie czy Bazylei.

Na tegorocznym sympozjum projektantów w Brnie całkiem niespodziewanie okazało się, że czołowe szkoły graficzne na świecie mają bardzo zbliżony program. A program łódzkiej pracowni, tłumaczony już na wiele języków, jest w głównej mierze dziełem docenta **Krzysztofa Lenka.** Do świetnych, a nie docenionych w kraju **tradycji druku funkcjonalnego Władysława Strzemińskiego** dorzucił on własne, bogate doświadczenia z pracy w czasopismach paryskich (jak „Jeune Afrique" czy „Paris Match") i polskich (jest m. in. autorem formuły graficznej dla „Perspektyw" i „Problemów").

Udało mu się też skupić w pracowni grupę ambitnych, zdolnych młodych ludzi swej specjalności, choć w trudnym i wyśrubowanym programie łódzkiej PWSSP, nastawionym na wszechstronne przygotowanie zawodowe, muszą oni także studiować w drugiej jeszcze z czterech pracowni Katedry Projektowania Graficznego, nie zapominając ciągle o kształceniu ogólnoplastycznym (w rzeźbie, malarstwie czy fotografice)...

O kłopotach i sukcesach łódzkiej pracowni rozmawiałem z jej absolwentem, uczniem doc. Krzysztofa Lenka i jedynym etatowym asystentem — **Janem Kubasiewiczem.**

— **Głównym zadaniem pracowni** — powiedział mi młody grafik — **jest projektowanie druków periodycznych. A są to nie tylko serie książkowe, czasopisma, ale również podręczniki szkolne, rozkłady jazdy, książki telefoniczne... Zanim jednak student odda swoją pierwszą dyspozycję pełnego projektu, musi nauczyć się wielu różnorodnych zadań i ćwiczeń, jak np. projektowania stron pisma, kadrowania fotografii, posługiwania się znakiem graficznym itp.**

Pierwsza grupa absolwentów opuściła pracownię w 1974 roku. Przy znanych bolączkach naszej poligrafii młodzi graficy nie uniknęli rozczarowań. Nie wszystkie propozycje są realizowane, a z przyjętych — np. gdy chodzi o serie wydawnicze czy opracowania systemowe — po pewnym czasie częściowo rezygnuje się, drastycznie i nieodpowiedzialnie wypaczając zamysł twórcy projektu. O takich inicjatywach opowiadał mi, na podstawie własnych, przykrych doświadczeń, **J. Kubasiewicz:**

— **Zaprojektowałem wespół z Andrzejem Olejniczakiem propozycję popularnonaukowej serii wydawniczej dla Krajowej Agencji Wydawniczej. Jednak tylko pierwszy tom był zgodny z naszą koncepcją. Nikt nie umiał potem trzymać się pierwowzoru.**

Również z całego systemu znaków firmowych dla wszystkich druków tejże Agencji ostał się tylko... jeden jedyny znaczek, widoczny jeszcze na okładkach KAW-u.

Nie doszło do wprowadzenia w życie szeregu innych jeszcze projektów z łódzkiej pracowni typograficznej. Wymienię choćby system znaków obrazkowych dla „Trybuny Ludu", projekty nowych szat graficznych dla „Głosu Robotniczego" i „Odgłosów". Ten ostatni projekt, była to pierwsza praca dyplomowa pracowni, dzieło Bułgarki, Mariany Minkowskiej. Przygotowaliśmy też świeży i dowcipny projekt gazety dla... kibica ŁKS-u. Był precyzyjnie obmyślony, żeby idącemu na mecz kibicowi starczyło lektury w czasie dojazdu na stadion, przerwy w meczu, i wreszcie, aby na koniec... mógł sobie z gazety zrobić zgrabną czapkę na głowę...

Twierdzenie jednak, że młodym grafikom, absolwentom łódzkiej PWSSP brak zaspokojeń twórczych, byłoby bezpodstawne. Pracownia jest właśnie w trakcie wychodzenia na krajowy rynek. Z założenia, że nie ma druku wydanego doskonale, rosną ambitne plany „zreformowania polskiej książki" przez stopniowe, wytrwałe usuwanie wieloletnich zaniedbań i tradycjonalizmów grafiki książkowej i prasowej, ambitne plany własnego periodyku (którego druk będzie możliwy po otrzymaniu nowoczesnego parku maszyn, kiedy to, co często dotąd było tylko imitowane, będzie zawsze drukowane i powielane) i zacieśniania współpracy z zainteresowanymi ośrodkami, jak choćby RSW „Prasa-Książka-Ruch", finansowym opiekunem oraz czołowym zleceniodawcą dla Katedry Projektowania Graficznego.

Doszło do realizacji m. in. nowych szat graficznych dla miesięcznika **„Kino"** (projekt **Jacka Czekańskiego**), dla mającego się ukazywać od 1977 roku pisma o tematyce science fiction, (projekt **Jerzego Wajdowicza**), dla **„Prawa i Życia"** (projekt **J. Kubasiewicza i Mirosława Woźnicy**), gdzie nowa koncepcja doprowadziła do uporządkowania tytułów, systemu stałych winiet, ograniczenia tak nie lubianych przez czytelników przerzutów artykułów na różne strony oraz długich, a źle wpływających na czytelność akapitów.

Myśląc z wyprzedzeniem o zbliżającej się reformie oświaty, Pracownia Projektowania Typograficznego łódzkiej PWSSP opracowała projekt systemu nowoczesnych podręczników.

Jeszcze szerszy zakres, bo na skalę europejską, będzie miał udział łódzkich grafików w próbie skodyfikowania wszystkich, ok. 30 tysięcy znaków graficznych, funkcjonujących w Europie. Niektóre z nich nieomal żądają modernizacji. Wystarczy np. zajrzeć do rozkładu jazdy PKP. Pociąg pośpieszny symbolizuje tam „parowóz kolei wiedeńskiej", a miejsca sypialne — przedstawione w złym rzucie „drewniane łóżko".

Wspomniane już wyrywanie z systemu znaków, z kontekstu szeroko zakrojonego projektu, jakiegoś jednego szczegółu, ta nagminna, a bezceremonialnie niwecząca wysiłek i zamierzenie twórcy, praktyka, nazbyt często stosowana przez instytucje kupujące projekty łódzkiej pracowni — nie jest, niestety, jedynym dowodem braku zainteresowania społecznego i obojętności wobec wybitnych aspiracji łódzkich projektantów.

WYDARZENIA

BIAŁA ŚMIERĆ

Jeśli nawet sztuczne szczęki rekina z plastyku wzbudzają grozę, to cóż dopiero prawdziwe zęby prawdziwego rekina! Na samą myśl włos się jeży. Co robić, stając oko w oko z tym bezlitosnym mordercą? Czy zawczasu udawać nieboszczyka, czy może zaatakować go z furią desperata, stawiając wszystko na jedną kartę? Głucho o tym w głośnym superfilmie pt. „Szczęki", który przez szereg tygodni trzymał w napięciu łódzkich kinomanów...

W Bałtyku na szczęście nie ma rekinów, mimo to posłuchajmy, co opowiadają o tych drapieżnikach mórz i oceanów znawcy przedmiotu i ludzie, których tylko łaskawy los i przytomność umysłu uratowały od strasznej śmierci w paszczy rekina.

Znany brytyjski specjalista od zagadnień mórz i oceanów, Canion, którego niejednokrotnie atakowały rekiny, zaleca pływakowi, żeby w obliczu potwora nie wpadał w panikę. Najlepiej — radzi Canion — utrzymywać się w wodzie w miejscu i nie spuszczać rekina z oczu. Niech podpłynie bliżej, należy pamiętać, że rekiny są niezwykle ciekawe. Choć może brzmi to niepoważnie, ale najlepiej puszczać w wodzie pęcherzyki powietrza, rekina bowiem płoszy nie dźwięk, lecz drgania przebiegające przez wodę, które odbiera z zadziwiającą precyzją. Zdaniem oceanologa, rekiny atakują człowieka najczęściej na powierzchni wody, kiedy zanurza się, lub kiedy wychodzi na brzeg.

Tego roku, w jednej z miejscowości wypoczynkowych na Florydzie rekin okaleczył 10-letnią dziewczynkę, a pięć dni później napadł na 17-letniego ucznia, kiedy na desce ślizgał się po falach. Świadkowie tego wydarzenia zamarli z przerażenia. Tego rodzaju wypadki rujnują posiadaczy nadmorskich kurortów i nieraz dopuszczają się oni brzydkich chwytów, żeby tylko zachować to w tajemnicy. Właściciele hoteli w jednym z najbardziej znanych nadmorskich rejonów Mozambiku, Ksai Ksai, musieli sprzedać w ubiegłym roku wszystkie nieruchomości, kiedy rozeszła się wieść, że podczas kąpieli w morzu rekiny pożarły jednego z kuracjuszy, a drugiego śmiertelnie zraniły.

Dla kąpiącego się nie ma nic bardziej przerażającego niż widok szarej płetwy rozcinającej powierzchnię morza. Każdego roku, nawet w Anglii, taki lub inny kurort nadmorski nagle ogarnia panika na wieść o pojawieniu się w pobliżu rekinów. Chociaż przy spotkaniu z tym drapieżnikiem człowiek ginie rzadziej niż np. od uderzenia pioruna, to jednak wielu specjalistów uważa, iż rekiny stanowią o wiele większe niebezpieczeństwo chociażby dlatego, że coraz więcej ludzi na świecie spędza urlopy nad morzem. Gorączkowa zabudowa rejonów nadmorskich powoduje wzrost zanieczyszczenia mórz wodami ściekowymi, które zawierają wiele odchodów nęcących rekiny. W Południowej Afryce rekiny częściej atakują ludzi podczas powodzi, kiedy rzeki wynoszą do morza wielkie ilości odchodów.

UWAGA! REKIN!...

Zaledwie rok temu dziesiątki urlopowiczów na plaży niedaleko Durban (RPA) widziało, jak w odległości około 150 metrów od brzegu rekin zaatakował miejscowego ratownika, chwytając go zębami za nogę. Nieco wcześniej rekin poważnie okaleczył 16-letniego chłopca. Chłopiec opowiedział, że nie widział nawet rekina, lecz poczuł jak coś chwyciło go za prawą nogę i próbowało ściągnąć z deski. Próbowałem się uwolnić — opowiadał chłopiec — ale rekin trzymał mnie za nogę jak pies, potem dopiero zobaczyłem krew i poczułem ból. Kilka lat wcześniej w Palm Beach na Florydzie, wielu ludzi było świadkami jak czterometrowej długości ryba-młot (z rodziny rekinów) rzuciła się na dziewczynkę. Ratownik, który zdążył do niej dopłynąć, odepchnął rekina nogą, chwycił dziewczynkę i, obserwując go nieustannie, popłynął z nią do brzegu. Ryba płynęła w ślad za nimi. Wydawało się — opowiadali naoczni świadkowie — że rekin wyskoczy za nimi na piasek!...

Najczęstsze wypadki atakowania człowieka przez rekiny zarejestrowano na wodach australijskich: 25 na 40 odnotowanych w całym świecie. Najbardziej tragiczny miał miejsce w zatoce Port Philipp, w stanie Wiktoria w 1930 roku. Tłumy widzów, obecne na regatach żeglarskich, ujrzały nagle, jak na płynącego przy nabrzeżu chłopca, Normana Clarka, napadł ogromny rekin. Podrzucił go w górę, ponad powierzchnię wody, odciął mu obie nogi i pięć minut bawił się ze swoją ofiarą, jak kot z myszką. Wreszcie, chwyciwszy Clarka w poprzek tułowia, znikł z nim w głębinie...

Straszna historia wydarzyła się poławiaczowi pereł, Japończykowi Yona Asai. „Wyciągnąłem rękę — opowiada Asai — żeby podnieść z dna muszlę, ale był to kamień, odwróciłem się i zobaczyłem rekina zaledwie dwa metry ode mnie. Rzucił się na mnie i chwycił mnie za szyję, ale znalazłem jeszcze dość sił, żeby wcisnąć mu palce do oczu. Naciskałem i bodłem je palcami dopóty, dopóki mnie nie puścił"... Asai zdołał wypłynąć na powierzchnię i wciągnięto go do łodzi. Trzy tygodnie po wyjściu ze szpitala na szyi uformował mu się ogromny wrzód. Kiedy pękł, okazało się, iż wewnątrz znajdował się złamany ząb rekina. Miła pamiątka!...

Siedemdziesiąt lat temu wzięto by takie historie za klasyczne bajdy rybaków: „taaaka ryba, panie". Większość ludzi uważała rekina za łagodne stworzenie morskie, a pewien sceptyk zaoferował nawet 500 dolarów nagrody za przedstawienie dowodów zaatakowania człowieka przez rekina.

O KROK OD ŚMIERCI

Ale oto latem 1916 roku, na wybrzeżu Oceanu Atlantyckiego, niedaleko od Nowego Jorku, biały rekin, nazywany powszechnie „białą śmiercią", zaatakował i pożarł czworo osób, a piątą ciężko zranił. I to wszystko na przestrzeni zaledwie dziesięciu dni! W trakcie wielkiej obławy ów „wściekły rekin" został złapany i zabity. W jego wnętrznościach znaleziono mnóstwo ludzkich szczątków. Odtąd przestano mówić o „rybackich opowieściach".

Spośród 300 gatunków rekinów tylko kilka jest niebezpiecznych dla człowieka, przede wszystkim: biały rekin, błękitny rekin, tygrysowy, ryba-młot oraz jedyny słodkowodny rekin zamieszkujący Jezioro Nikaragua. Jednym z najstraszliwszych morderców jest także rekin Zambezi, mający zwyczaj powracania na ulubione miejsca polowań na ludzi. Uczeni, którzy obserwują zwyczaje rekinów Zambezi u brzegów Południowej Afryki stwierdzili, że u niektórych osobników wyrabia się pociąg do ludożerstwa. To samo można powiedzieć o rekinie wielorybim, który od czasu do czasu terroryzuje mieszkańców miast i osiedli, położonych na wschodnim wybrzeżu Australii. W Ameryce taką złą sławę zyskał sobie rekin rogaty.

Rodny Fox, australijski znawca mórz, opisał kilka lat temu, jak udało mu się ujść z życiem, kiedy go zaatakował ogromny biały rekin. Zdarzyło się to w 1963 roku, niedaleko od Adalaide, na południowo-wschodnim wybrzeżu Australii. Rekin niespodziewanie natarł z impetem na Foxa i trzymając go w uzębionej paszczy, płynął dalej przed siebie jak torpeda. A warto wiedzieć, że rekiny mogą rozwijać szybkość do 70 kilometrów na godzinę! „Ogarnęło mnie straszne, z niczym nie dające się porównać, uczucie — pisze Fox. Mdliło mnie, odczuwałem potwory ucisk na plecy i na pierś, miałem wrażenie, jakby mi się wnętrzności przetaczały z jednej części jamy brzusznej na drugą. Próbowałem się uwolnić, ale ciało miałem ściśnięte jak w imadle. Rekin trzymał mnie mocno w paszczy za lewą łopatkę i kark. Na mgnienie oka straciłem rozeznanie, z przerażenia nie czułem nawet bólu. Wyciągnąłem rękę starając się dosięgnąć oczu rekina".

Rekin na moment rozluźnił uchwyt szczęk, Fox zdążył uwolnić się z paszczy potwora i wypłynąć na powierzchnię. Rekin atakował jeszcze kilkakrotnie, ale Foxowi udało się te ataki odeprzeć. Wyłowiła go łódź motorowa, uratowano mu życie, mimo strasznych ran na piersiach, ramionach i plecach.

METODY WALKI Z REKINAMI

Jedno z najbardziej „północnych" spotkań człowieka z rekinem zdarzyło się w czerwcu 1960 roku u południowo-wschodnich wybrzeży Szkocji. Znane są także wypadki ataku rekinów na niewielkie łodzie w kanale La Manche, na Morzu Północnym i na Morzu Irlandzkim. Najczęściej jednak napadają rekiny na ludzi w ciepłych wodach Oceanu Spokojnego, Oceanu Indyjskiego, Morza Czerwonego, w Zatoce Perskiej, w Morzu Karaibskim.

Mózg rekina nie jest duży, wzrok ma bardzo słaby. Rekiny nie rozróżniają kolorów, tylko światło, cień i kształty przedmiotów, ale krew czują z odległości pół kilometra. Także z bardzo dużej odległości odczuwają drgania wody. Dlatego, być może, tak niezwykle szybko przypływają na miejsce katastrofy, albo odnajdują pływającego człowieka.

J. I. Cousteau, znany francuski badacz świata podwodnego, twierdzi, że kiedy rekin chwyta ofiarę zębami, zaczyna się spazmatycznie miotać wkładając w to całą siłę swego ciała. Podczas tych gwałtownych ruchów ostre zęby rekina tną ciało ofiary, niczym świeżo wyostrzona piła. Niektóre rekiny zadają pierwsze uderzenie całym ciałem, inne ogłuszają swoją ofiarę uderzeniem ogona. Grubą i bardzo szorstką skórą dotkliwie rania człowieka.

Czy istnieją naukowe metody walki z rekinem? Jedną z najbardziej obiecujących jest repellent, do którego produkcji używa się odstraszającego rekiny jadu, wydzielanego przez małą, pospolitą rybę zamieszkującą Morze Czerwone. Efektywnym środkiem okazały się także ogrodzenia wykonane z siatek z drutu kolczastego, które ustawia się wokół plaż. Po raz pierwszy zastosowane w Australii, siatki te spowodowały gwałtowny spadek liczby rekinów w przybrzeżnych wodach. Rekiny, w odróżnieniu od innych ryb, nie mają pęcherza pławnego i żeby nie utonąć muszą być w nieustannym ruchu. W siatkach grzęzły i nie mogąc pływać — tonęły. Stosowano także ogrodzenia z drutu pod napięciem elektrycznym. Uderzenie prądu o napięciu 7 tysięcy amperów paraliżuje system nerwowy ryb, ale nie jest niebezpieczne dla kąpiących się, którzy odczuwają tylko leciutkie ukłucie.

NIENASYCONY MORDERCA

Ogólnie rzecz biorąc, rekiny nie są wcale tak agresywne, jak — powiedzmy — na lądzie dzikie zwierzęta z rodziny kotów. Na jednej z Wysp Salomona oswojone „święte" rekiny podpływają do brzegu i pozwalają się nawet miejscowym kapłanom głaskać po grzbietach.

Na dobrą sprawę istnieją o wiele bardziej niebezpieczne rodzaje ryb niż rekiny. Barrakuda, lub — jak się ją niekiedy nazywa — „ryba tygrys", uzbrojona w dwa rzędy ostrych zębów w górnej szczęce, jest nienasyconym mordercą. Jeszcze groźniejsza jest półtorametrowa tzw. ryba błękitna z tępo zakończoną paszczą i zębami ostrymi jak noże. Grasuje w wodach tropikalnych, ale najczęściej można ją spotkać u atlantyckich wybrzeży Afryki. Ryby błękitne pływają gromadnie. Jak stada wygłodzonych wilków pożerają wszystko, co tylko spotkają na swojej drodze; ich szlak jest usiany resztkami ryb i zbrudzony plamami krwi. W czasie wojny pożarły żywcem wielu rozbitków z zatopionych okrętów. I barrakudy i ryby błękitne często ponoszą winę za napady na ludzi, choć tradycyjnie posądza się o to rekiny. Ich ataki są wściekłe i zawzięte. Nieraz wyskakują z wody, żeby wczepić się człowiekowi w szyję lub w plecy.

Coraz szerzej praktykuje się masowe tępienie rekinów. W Stanach Zjednoczonych skonstruowano nawet specjalną broń, strzelającą wielką igłą, wypełnioną gazem. Trafiony nią rekin wypływa na powierzchnię i dusi się. Uczeni energicznie protestują przeciwko stosowaniu metod masowej zagłady tych gatunków ryb. Cousteau tak napisał w swojej książce o rekinach: „Jest to jedna z najdoskonalszych, najpiękniejszych istot, jakie tylko stworzyła przyroda. Kiedy złowróżbna sylwetka rekina ześlizguje się wzdłuż skał, ryby nie rzucają się w panice do ucieczki. Po prostu ustępują drogi władcy i nie spuszczają z niego oczu. Tak samo postępujmy i my".

J.C.

„W Bałtyku na szczęście nie ma rekinów, mimo to posłuchajmy..."

FILM

LUDZIE I WĘGORZE

„Olśnienie" w reżyserii Jana Budkiewicza jest kolejnym filmem zrealizowanym w łódzkim zespole „Profil". Film ten jest również pełnometrażowym debiutem fabularnym Jana Budkiewicza, który pełniąc w wielu filmach funkcję drugiego reżysera, samodzielnie zrealizował filmy dokumentalne, a dla TVP dwie pozycje z cyklu „Klasyka światowa": „Dekameron 40" i „Mateo Falcone".

Scenariusz filmu „Olśnienie" napisany został w oparciu o opowiadanie radzieckiego pisarza Jurija Nagibina, autora scenariusza filmu „Jarosław Dąbrowski" w reżyserii Bohdana Poręby. Jurij Nagibin znany jest również czytelnikom polskim jako autor znakomitego tomu opowiadań pt: „Szczyt powodzenia", oraz osobno wydanego w PIW-owskiej serii z „Koziorożcem" dłuższego opowiadania pt. „W leśniczówce". Przypominam tu zwłaszcza tę ostatnią pozycję, gdyż jej tematyka bliska jest interesującemu nas tu „Olśnieniu". Bohaterowie tych utworów wywodzą się ze skrajnie różnych środowisk i różne okoliczności życia prowadzą ich do tej chwili, w której uświadomią sobie nie tylko siłę, ale także oczyszczającą i określającą człowieka funkcję przyrody. Jednakże w obu tych utworach odnajdujemy ten sam motyw przewodni — problematykę związków człowieka z naturą.

Temat ten coraz częściej staje się przedmiotem refleksji we współczesnej nauce i sztuce. Uczeni ekolodzy uzmysławiają groźne zachwianie praw natury, którego źródłem stał się gwałtowny rozwój cywilizacji XX wieku. Ich walce o ochronę środowiska naturalnego towarzyszą dowody i przestrogi, którym świat dopiero niedawno zaczął wierzyć. Działaniom ekologów towarzyszy również refleksja filozoficzna, a ludzie sztuki w kontekście tej problematyki sytuują konflikty i dylematy moralne współczesnego człowieka.

Motyw: człowiek — natura pojawił się już w polskim kinie. Najciekawsze jego artystyczne opracowania znaleźliśmy, jak dotąd w „Żywocie Mateusza" Witolda Leszczyńskiego oraz w filmie „Struktura kryształu" Krzysztofa Zanussiego. Temat ten zafrapował też Jana Budkiewicza. Możliwość jego podjęcia znalazł właśnie w opowiadaniu Nagibina. Zabiegi adaptacyjne wymagały wymiany realiów białoruskiej osady rybockiej na realia kaszubskiej wsi. Postaci przybysza, owego „obcego" wobec miejscowej społeczności trzeba było zaś nadać jakieś określone cechy „inności". Wybór padł na postać górala, ma ona bowiem w naszej tradycji określone miejsce i obdarowana jest wyrazistą indywidualnością.

Cieśla i stolarz, Jan Gąsiennica, trafia do kaszubskiej wsi na trasie wędrówki, której celem jest odnalezienie dla siebie miejsca na ziemi. Opuścił Podhale, gdyż na miejscu jego rodzinnej wsi powstała wielka zapora wodna. Ten jednostkowy los określony został cywilizacyjnymi, koniecznymi skądinąd decyzjami. Czas pobytu w kaszubskiej wsi Nadole odkrywa przed Jankiem Gąsiennicą nowy, inny świat. Życie, obyczaje, mentalność mieszkańców rybackiej osady określone są naturą, która ich otacza, prawami i rytmem przyrody innej niżeli ta, która bliska była góralowi. Mieszkańcy wsi nie akceptują przybysza, on sam czuje się wśród nich obcy. Duchowe porozumienie między nimi nastąpi w sytuacji konfliktowej, która junackiemu góralowi jeszcze raz uzmysłowi odwieczność praw natury, których człowiek nie może i nie powinien łamać. Człowiek z gór zrozumie ludzi znad rzek i jezior, a opowieść o jego próbie walki z węgorzami ciągnącymi w swym odwiecznym instynkcie ku morzu na tarło, pełni w tym filmie funkcję metaforyczną. Człowiek nie może łamać wewnętrznego porządku natury, może jedynie rozumnie korzystać z jej praw i podporządkowywać ją sobie tak, by nie zachwiać jej istotą.

Takie jest, jak sądzę, przesłanie filmu „Olśnienie", w swych głównych intencjach wyraźnie przedstawione. Owej intencjonalności nie towarzyszy jednak w pełni adekwatna forma. Intencjonalność ta została nieco zbyt wprost rozpisana na głosy i sytuacje. Reżyser filmu skoncentrował swą uwagę głównie na postaci górala, wydobywając z niej cechy typowe i indywidualne. Stało się to jednak kosztem rysunku środowiska, w którym rozgrywa się główny konflikt filmu. Oczekiwałam większego bogactwa tego rysunku, ludzie ci bowiem są tak samo ciekawi jak ten, który do nich przyszedł. Niestety, w filmie ich obyczajowość, a także mentalność jest tylko markowana.

Zabrakło mi w filmie Jana Budkiewicza jakiejś wewnętrznej siły niosącej ową określoną wyżej problematykę. Siły, której szukać trzeba chyba było w analizie niezwykle głębokich związków ludziej działalności, ludzkich zachowań, sposobu myślenia, związków z przyrodą, która je określa. Konstatacja ta nie jest przecież odkrywaniem prawd nowych. By prawdy te, dla słusznych celów, raz jeszcze ujawnić, należy działać tak, by poruszyć w człowieku pewne sfery emocji, a nawet instynktu, a nie tylko świadomości i intelektu. Jest w filmie „Ocalenie" sekwencja, w której reżyser zaatakował te rejony naszego odczuwania, o których myślę. Jest nią sekwencja ataku węgorzy na zaporę przez górala zbudowaną. Scena ta budzi ciekawość, lęk, a nawet wstręt, — budzi emocje bardzo konkretne, o które przecież, jak sądzę, reżyserowi najbardziej chodziło. Gdyby ten stan napięcia i reakcje widza na obrazy przyrody i ludzi wśród niej żyjących zdołał film ten wywołać kilka razy, mielibyśmy do czynienia z utworem, w którym nie tylko cenna jest jego idea.

EWA NURCZYŃSKA

NIE TYLKO HISTORIA

PRZYJACIELSKIE SPOTKANIE

Szczególnie owocną formą międzynarodowej współpracy historyków krajów socjalistycznych są działające od kilkunastu lat bilateralne Komisje Historyczne, powołane do życia przez Akademię Nauk, a działające w oparciu o zainteresowanych specjalistów z różnych ośrodków naukowych. Polsko-Czechosłowacka Komisja Historyczna może się pochwalić interesującym dorobkiem. W cyklu pięciu spotkań dyskusyjnych, jakie odbyły się w latach 1969—1974 kolejno: w Poznaniu, Pradze, Warszawie, Bratysławie i Gdańsku, rozpatrzono wszechstronnie zagadnienia kształtowania się i rozwoju świadomości narodowej Polaków, Czechów i Słowaków. W 1975 r. podczas kolejnego spotkania, które odbyło się w Brnie, zainaugurowano nowy cykl problemowy, poświęcony zagadnieniom świadomości historycznej trzech naszych narodów. W Brnie dyskutowaliśmy problemy metodologiczne oraz zagadnienia historycznej świadomości Polaków, Czechów i Słowaków w czasach najnowszych. Niedawno — w dniach 8 i 9 listopada — spotkaliśmy się ponownie, tym razem we Wrocławiu.

Współorganizatorem tegorocznego spotkania Polsko-Czechosłowackiej Komisji Historycznej był Uniwersytet im. Bolesława Bieruta. Gospodarzem konferencji był najwybitniejszy u nas znawca średniowiecznych dziejów Czech i Słowacji, prof. dr Roman Heck, który objął właśnie obowiązki przewodniczącego sekcji polskiej Komisji, po ustąpieniu prof. dr Gerarda Labudy. Delegacja czeska i słowacka, na której czele stał przewodniczący sekcji czechosłowackiej prof. dr Ludovit Holotik, przedstawiła podczas obrad trzy referaty. Dr Duszan Tresztik z Pragi w swym wystąpieniu, zatytułowanym „Świadomość historyczna czeskiego średniowiecza", skupił swoją uwagę w szczególności na kształtowaniu się świadomości historycznej w Czechach w okresie wczesnośredniowiecznym. Jego referat, oparty o wnikliwą analizę źródeł, sprowokował ożywioną dyskusję, w której wzięli udział historycy polscy, czescy i słowaccy z kilku ośrodków naukowych. Doc. dr Matusz Kuczera z Bratysławy ujął swój referat „Problem słowacki w historiografii feudalizmu" w sposób odmienny od swego czeskiego kolegi: skupił swoją uwagę na analizie historiografii, od czasów najdawniejszych, dochodząc do początku czasów nowożytnych. Kolejne wystąpienie doc. dr Jaromira Mikulki z Pragi „Świadomość historyczna społeczeństwa czeskiego w początkach czasów nowożytnych" dotyczyło w szczególności czasów husyckich i przedstawiało rozwój świadomości historycznej Czechów w związku z przemianami tej epoki.

Referaty strony polskiej dotyczyły analogicznych zagadnień, tyle, że w odniesieniu do dziejów Polski. O ile jednak w wystąpieniach kolegów czeskich i słowackich przeważała problematyka mediewistyczna, strona polską przedstawiła tylko jeden referat dotyczący średniowiecza. Wygłosił go prof. dr Roman Heck, mówiąc o „Problemach świadomości historycznej średniowiecznego społeczeństwa polskiego". Jego wystąpienie stanowiło pendant do referatu D. Tresztika i innych. Niezmiernie efektowny, poparty arcyinteresującymi cytatami z dawnej literatury polskiej, okazał się referat doc. dr Ludwiki Śląk, zatytułowany: „Przeszłych wieków sprawy jako przedmiot poetyckiego przedstawienia w literaturze polskiej XVI w.", który sprowokował zagorzałą dyskusję, w której wzięli udział m. in. prof. dr Władysław Czapliński, prof. dr Andrzej Wyczański. Ostatnim z przedstawionych przez stronę polską referatów była praca prof. dr Andrzeja F. Grabskiego, zatytułowana: „Oświecenie i historia — przypadek Polski", dyskutowana następnie przez doc. dr Jerzego Maternickiego.

Mimo że na sali — rzecz zrozumiała wobec tematyki referatów — przeważali specjaliści od średniowiecza i właśnie sprawy mediewistyczne były najszerzej dyskutowane podczas obrad — nie zabrakło wypowiedzi o charakterze ogólniejszym, mających znaczenie dla całokształtu naszych badań nad zagadnieniami świadomości historycznej. Wystąpienia prof. dr Brygidy Kürbis, prof. dr Józefa Chlebowczyka, doc. dr Miroslava Hrocha — by wspomnieć tylko niektóre — wykraczając poza chronologiczny zakres jednej epoki dziejowej zawierały uogólniające propozycje o charakterze metodologicznym, mogące przyczynić się do wydoskonalenia naszych badawczych metod i uściślenia używanych przez nas pojęć. Bogaty naukowy program wrocławskiego spotkania uzupełniły w drugim dniu obrad cztery wnikliwe komunikaty, po dwa z każdej ze stron, dotyczące podstawy archiwalnej dla badań nad stosunkami polsko-czesko-słowackimi i najnowszego dorobku nauki w tej dziedzinie.

Wrocławski ośrodek naukowy nadał naszemu spotkaniu szczególnie miłą oprawę: obrady toczyły się w pięknej sali Uniwersytetu, w warunkach rzeczywiście sprzyjających dla naukowej dyskusji. Umożliwiono nam nie tylko zwiedzenie słynnej „Leopoldiny", najwspanialszej auli uniwersyteckiej w Polsce, ale również zabytków miasta; po zakończeniu konferencji odbyliśmy całodniową wycieczkę po Śląsku, zwiedzając nie tylko zabyki przeszłości, ale zapoznając się również ze śląskim dniem dzisiejszym w kopalni i hucie miedzi. W podpisanym na zakończenie obrad protokóle obie strony dały wyraz swemu przekonaniu o owocności obrad nad wyraz sprzyjającej atmosferze, stworzonej Komisji we Wrocławiu, oraz określiły tematykę przyszłej konferencji. Odbędzie się ona za rok w Pradze i poświęcona będzie problemom świadomości historycznej Czechów, Słowaków i Polaków w XIX stuleciu.

ANDRZEJ F. GRABSKI

TELEWIZJA

SZKLANE KINO

Redakcja Programów Filmowych TVP obwieszcza w tygodniku „RTV", że w telekinie prezentuje się filmy ambitne. Jest to — ogólnie biorąc — prawda. Coraz rzadziej częstuje się telewidzów jakąś galanterią (czy raczej pasmanterią) filmową, coraz rzadziej emituje się fabularną miernotę, nie skażoną głębszą refleksją. Film, który kiedyś był przysłowiową „piętą Achillesa" naszej telewizji, ostatnio stał się jej mocnym atutem.

Seria filmów Ingmara Bergmana, emitowana już od dawna, zapoznaje telewidzów z naprawdę znaczącymi dziełami światowego kina — ostatnio widzieliśmy urzekający obraz „Jak w zwierciadle". Mądry, pełen niełatwej czasem filozofii, w którym każdy znajdzie dla siebie jakąś cząstkę, szczyptę refleksji. Każdy myślący — oczywiście. I to dobrze, że telewizja coraz bardziej staje się zajęciem dla ludzi myślących.

Nawet na powtórzenia człowiek nie narzeka, gdy ogląda się po raz drugi nie ckliwą ramotę, ale film znaczący. Czekałem z niecierpliwością na powtórzenie radzieckiego „Dziennikarza" tylko dla jednej wzruszającej, przejmującej sceny. Na samym początku filmu młody bohater rozmawia — tonem lekceważącym, trochę rozbawiony — z dziennikarzem, który przegrywa i odchodzi. Ów młody „wskakuje" na jego miejsce; odejście tamtego jest szansą dla bohatera filmu.

Tym przegranym jest — o czym nie wszyscy wiedzieli — sam **Wasyl Szukszyn.** On to bowiem zagrał ową epizodyczną, pełną tragizmu rolę. Nieżyjący już dziś Wasyl Szukszyn, autor „Kaliny czerwonej", autor opowiadań i filmów przejmujących i prostych.

Czekałem na tę jedną scenę — obejrzałem, czywiście, cały, dwuczęściowy film.

Jeśli mowa o Szukszynie, to właśnie dzięki telewizji miliony widzów mogły zobaczyć inny film tego wybitnego artysty. Szukszyn go wprawdzie nie reżyserował, ale jego jest materia literacka „Rodziny Lubawimych". A więc polska prapremiera filmu niezwykle atrakcyjnego w warstwie wizualnej, nasyconego dramatyzmem, uniwersalnego w swojej humanistycznej wymowie.

Tak więc prapremiery filmowe widz polski może oglądać także dzięki telewizji. Ale to, co okazuje się możliwe w tzw. wielkim repertuarze, niemożliwe jest nadal w krótkim metrażu.

Przy okazji impresji filmowej pt. „Wojtek" reż. **Wadima Berestowskiego** pisałem, przed miesiącem o tym, że telewizja powinna szeroko korzystać właśnie z ambitnej produkcji choćby **„Semafora".** Jest to bowiem i szansa dla samej telewizji i szansa dla krótkiego metrażu, który ginie gdzieś przyczepiony (często bezsensownie) do głównego tytułu w kinie.

Wadim Berestowski tak mówi na ten temat: **„Chodzą te nasze filmy, moje, J. Kędzierzawskiej i młodych absolwentów szkoły filmowej, którzy w tego rodzaju filmach stawiają swoje pierwsze kroki, jak z łaski. Na mały ekran nie mogą wejść wcześniej niż po... siedmiu latach od premiery. Taki jest przepis. Raz jeden w ciągu dziesięciu lat zostałem zaproszony na projekcję jednego z moich filmów na spotkaniu z dziećmi w kinie „Przedwiośnie". Było to dwa lata temu — więcej o takich spotkaniach nie słyszałem".**

Dodam od siebie, że jest to nie tylko sprawa satysfakcji autorów, którzy w tych małych formach robią nieraz naprawdę duże filmy. Jest to sprawa użyteczności społecznej filmu dla dzieci i młodzieży, filmu kształcącego, bawiącego, z dyskretną dydaktyką i przekonywającym morałem.

Telewizja jest instytucją potężną. Serwuje nam nawet polskie prapremiery światowego kina — za co jej chwała. Może więc jeszcze jeden krok? **Może w przepisach wymyślonych u początków telewizji znajdzie się jakaś furtka, przez którą przejdzie nasz rodzimy krótki metraż?** Jeśli mnie ktoś zapyta o rezerwy w kulturze, odpowiem od razu: „Tam, w produkcji krótkiego metrażu, tkwią ogromne rezerwy wciąż nie wykorzystywane przez telewizję".

TELEMAN

TEATR

REFLEKTOR NA LALKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Telewizja jednak już od dłuższego czasu straszy milusińskich i to nie tradycyjną „Babą Jagą", lecz właśnie widowiskami lalkowymi. Nie mam tu oczywiście na myśli sympatycznych na ogół „dobranocek", ale „galowe" spektakle dla najmłodszych. Zresztą, czy aby na pewno dla nich? Te poczwarne „lalki" i inne marionetki, idiotyczno-groteskowe eksperymenty scenograficzne, naiwne teksty i niby dowcipne „zagierki"? Mniej odporne dzieciaki mają po owych „widowiskach" koszmarne sny i budzą się z krzykiem w środku nocy.

Ale cóż im pozostało, skoro nawet Wieńczysław Gliński, mocny przecież człowiek, został skutecznie wypłoszony ze szklanego ekranu przez różne potworki i ze swoim wspaniałym i ukochanym przez dzieciarnię teatrem uciekł, nie wiadomo gdzie?

Film natomiast mamy dobry, ależ to film przecie, a tu mowa o teatrze. Wróćmy zatem do owych nieszczęsnych i pogardzanych marionetek — pogardzanych i bodajże dlatego właśnie takich nieszczęsnych.

A pogardzanych jawnie, co uwidaczniają choćby wyraźne różnice w gażach i tzw. czasowych normach pracy aktorów teatrów dramatycznych i lalkowych, na niekorzyść oczywiście tych ostatnich. Nie dziwmy się więc, że co lepsi aktorzy nie garną się hurmem do „lalek" (tych z papier-mâché) i do „teatrzyków", gdzie na dodatek zwyczajem jest anonimowość. Gardzą też „lalkami" krytycy i w ogóle prasa.

A W ŁODZI?

Tak się złożyło, że oba łódzkie teatry lalkowe borykają się z poważnymi kłopotami, jakich nigdy nie brakuje, gdy w grę wchodzi remont siedziby. W teatrze **„Pinokio"** wprawdzie owe kłopoty już się kończą, w **„Arlekinie"** — dopiero zaczynają się na dobre. Dla równowagi jednak **„Pinokio"** przeżywa pewne trudności kadrowe. No i dyrektor nowy, dopiero „wgryza się" w specyfikę łódzkiego środowiska. Natomiast szef zespołu **„Arlekina"**, choć też po krótkim stosunkowo stażu łódzkim, zdążył już nieźle poznać kulturalne labirynty naszego grodu.

Na dobrą sprawę jednak obaj zaczynają (bo „Arlekin" zamierza wystąpić z nowymi propozycjami), a początki zawsze są trudne, tym bardziej gdy chce się odstąpić od nie najlepszych, choć dość powszechnie przyjętych i praktykowanych schematów działania, o których była już mowa. Wydaje się jednak, że tym razem mamy szczęście do ludzi odważnych, świadomych celu i co najważniejsze, całą duszą oddanych owym pogardzanym „lalkom". Ludzi, którzy widzą swój „teatr ogromny", teatr jak teatr, choć w mniej udramatyzowanych wymiarach niż inni sztukmistrze. Ludzi zdolnych, w co głęboko wierzę, dać łodzianom, niekoniecznie tylko najmłodszym, lalkowy teatr z prawdziwego zdarzenia, a nie wykpiwany cięgiem „teatrzyk".

Tu należy się pewna uwaga. Zarówno **„Arlekin"**, jak i **„Pinokio"** to nie jakieś tam „teatrzyki", nigdy bowiem takimi nie były, a o ich wieloletniej znakomitej pracy, zasługach i sukcesach nie tylko krajowych długo by mówić czy pisać. Oba wszakże nie „spoczęły na laurach" i teraz właśnie zamierzają rozpocząć nową „epokę" w swoim działaniu. Jakąż to i jakie są ich propozycje na najbliższą przyszłość? Jakie założenia i nowe modele działalności?

Koncepcję dyrektora **„Arlekina" — Stanisława Ochmańskiego,** można by wprawdzie określić jako tradycyjną, ale w pewnym tylko sensie — w takim mianowicie, że nie odchodzi ona całkowicie od właściwych naszym teatrom lalkowym, wykształconych wcześniej i utrwalonych dość mocno w naszej tradycji form pracy i modeli artystycznych; te z nich, które dobrze się dotąd sprawdziły, mogą być nadal wykorzystywane. Oczywista, konieczne są pewne ich modyfikacje czy uzupełnienia o nowe wzory, co jest dyktowane zarówno presją ogólnych przemian w naszej rzeczywistości kulturalnej, jak i sytuacyjnymi potrzebami w skali mikro, wynikającymi z kontekstu wzajemnych na się oddziaływań teatru i środowiska, dla którego i w którym teatr funkcjonuje.

„ARLEKIN"

„Arlekin" ma być właśnie nie tylko tradycyjnie pojmowanym teatrem lalkowym o przypisywanych mu powszechnie równie tradycyjnych funkcjach, ale też lub może przede wszystkim środowiskową placówką kulturalno-oświatową w szerszym rozumieniu, placówką pełniącą obok czysto rekreacyjnych funkcji także kształcące i wychowawcze wobec pewnego środowiska, z którego wywodzi się publiczność teatru.

— Publiczność należy sobie wychować — mówi dyrektor Ochmański.

— Ale — dodaje — **jednocześnie trzeba myśleć o tym, że wychowujemy także i przyszłą publiczność dla teatru dramatycznego, bo nasi mali widzowie przecież kiedyś dorosną. Należy też pamiętać, że będą oni sukcesywnie włączać się w całość życia kulturalnego, przynajmniej jako odbiorcy treści kulturalnych, a do tego trzeba ich także przygotować. Wiadomo, że wykształcanie pewnych nawyków kulturalnych trwa długo, im wcześniej więc zaczyna się to robić, tym lepsze są później wyniki. Im młodszy człowiek, tym bardziej jest on podatny na wpływy i zabiegi wychowawcze czy kształcące. Jego osobowość psychiczna jest jeszcze na tyle plastyczna, że z powodzeniem pozwala się formować wedle pożądanych społecznie wzorów. To daje nam szansę wychowywania przyszłych odbiorców kultury, odpowiednio przygotowanych do pełnego, wszechstronnego uczestnictwa kulturalnego, o właściwie i na miarę potrzeb ukształtowanej tzw. osobowości kulturalnej.**

Fot.: Archiwum

Tę szansę — mówi dyr. Ochmański **— musimy w pełni wykorzystać, zdajemy sobie bowiem jasno sprawę, jak duża za to właśnie spoczywa na nas odpowiedzialność. Nasz cel naczelny zatem — to szeroko pojmowane wprowadzanie najmłodszych w kulturę. Nie zamierzamy przy tym rezygnować z oddziaływania i na starszego widza, przecież do teatru przychodzi z dziećmi wielu rodziców. To wszystko wyznacza nam określone formy działania. Widz przychodzi do nas sam i to chętnie, nie musimy bazować na widowni organizowanej np. przez szkoły czy inne instytucje. Ale też takiemu widzowi musimy dać to, czego on potrzebuje, a i dlatego także, by go zatrzymać na dłużej przy teatrze. Z tym wiążą się jednak pewne trudności. Brak jest większej liczby odpowiednich tekstów, pisanych specjalnie „pod lalki". Odpowiednich w tym sensie, by w ich scenicznej realizacji każdy widz mógł znaleźć coś interesującego dla siebie. Staramy się bowiem, aby poszczególne inscenizacje miały charakter dzieła „otwartego", używając nomenklatury U. Eco, o wielu możliwościach interpretacyjnych. Natomiast „klasyczne" propozycje literackie dla teatrów lalkowych to zbyt często po prostu płaskie moralitety. Ich adaptacja wymaga ogromu starań, by dało się zeń zrobić rzecz „strawną" i przynajmniej graniczącą ze sztuką, jeśli nie sztukę samą. Dlatego zamierzamy wprowadzać coraz częściej nowe formy do naszego programu: „składanki" poetycko-muzyczne, operę dziecięcą, pantomimę, widowiska nie tylko czysto lalkowe, ale i kostiumowe z wprowadzeniem „żywego" aktora na scenę, montaże tekstu, muzyki i plastyki, sugestywne i dynamiczne oddziaływanie scenografią, aż do otwartej, „naocznej" niejako zmiany dekoracji i kostiumów podczas spektaklu itd. To umożliwi nam szersze sięgnięcie do literatury, nawet adaptację na nasz użytek pewnych utworów stricte dramatycznych, co z kolei zwiększy nasze możliwości dotarcia do widzów różnych kategorii, wzbogaci — jeśli tak można powiedzieć — sferę komunikacyjną między teatrem a widownią i pozwoli widzowi traktować nasz teatr serio, po prostu jak każdy inny teatr. Już w najbliższym czasie — obiecuje dyr. Ochmański — wystąpimy ze spektaklem, który będzie właśnie przykładem pewnych innowacji. To przygotowywane obecnie przez nasz teatr „Cztery barwy roku". Serdecznie zapraszamy!**

„PINOKIO"

A jak widzi swój teatr dyrektor „Pinokia", Jerzy Michalak?

Jego koncepcji także nieobce są postulaty wychowywania kulturalnego, jednakże zamierza je realizować nieco inaczej:

— Wprowadzanie w kulturę, owszem, ale to tylko jedna strona „medalu". Nie zależy nam na wychowywaniu obojętnych na wszystko snobów, aczkolwiek kulturalnych. Nasz główny cel — to wychowanie człowieka głęboko wrażliwego na „dzianie się" otaczającej go rzeczywistości i na drugiego człowieka.

— Realizacja naszych zamierzeń — mówi dalej dyr. Michalak — z pewnością nie będzie łatwym zadaniem. Przede wszystkim musimy przełamać barierę starych, niedobrych przyzwyczajeń — usunąć tę „zawalidrogę", by móc pójść dalej. Powszechnie panuje przekonanie, że teatr lalkowy to tylko ot taki sobie „teatrzyk" dla małych dzieci, że wystarczy trochę „pokiwać lalkami" i już będzie dobrze. Faktem jest, że nader często nie tylko tak się myśli, ale też tak „robi się" teatr dla dzieci. W efekcie mamy do czynienia z niewydarzonymi utworkami-potworkami, o jednoznacznej interpretacji, jeśli już w ogóle jakiejś, a najczęściej są to rzeczy „ni do zabawy ni do nauki". Trudne sprawy miłości, przyjaźni, prawości, uczciwości w postępowaniu, dobra i zła są podawane płytko, według ograny ch a nie najlepszych schematów, często zaś po prostu na opak. Efektem tego są niewymierne szkody i krzywda, jaką czyni się naszym najmłodszym. Po takim „praniu mózgu" dość trudno im później „odnaleźć się" w tzw. szarej rzeczywistości, konfrontacja scenicznej iluzji ze zwykłą codziennością prowadzi często do „mieszania" pojęć i pewnych prawd o życiu. Wiadomo, że dziecko, zwłaszcza w bardzo młodym wieku nie bardzo jeszcze odróżnia iluzję od rzeczywistości i nierzadko pewne schematy „ze sceny" przenosi „żywcem" na własne działania w życiu codziennym, co rusz popadając w konflikty z otoczeniem. A przecież można temu zapobiec, przekazując młodym widzom autentyzm życia, choć w metaforycznej formie, a nie jego fałszywe namiastki. Dotyczy to nie tylko naszej pracy z milusińskimi, na spektakle wraz z dziećmi przychodzą także dorośli, którzy bezbłędnie wychwytują wszelkie potknięcia, lekceważenie, obłudę i każdy fałsz. Z drugiej strony rzecz biorąc, nie ma przecież innych prawd i zasad życia dla dorosłych i innych dla dzieci, choć nie wszystko musi być znane najmłodszym od zaraz; niekiedy jest to nawet niepożądane. Ale jeśli już im o czymś mówić, to prawdę, tylko prawdę i to serio. Ciągle należy pamiętać, że teatr lalek to ważny i liczący się instrument oddziaływania, zwłaszcza na młodego widza, w najistotniejszym momencie jego życiowej edukacji. To po prostu teatr taki jak inne, tyle że o szczególnych formach działania i specyficznych środkach wyrazu artystycznego, a nie jakiś tam „teatrzyk" o ulgowej taryfie — podkreśla dyr. Michalak.

— Kierując się tym zamierzamy pracować dla szerokiej widowni, dla odbiorców w różnych kategoriach wieku — podobnie jak czyni się to w wielu innych krajach — z myślą, by każdemu dać nie tylko trochę dobrej, interesującej rozrywki, ale i czasami skłonić do refleksji, o różnych sprawach nierozerwalnie związanych z naszą społeczną egzystencją, oczywista, każdemu wedle jego potrzeb oraz intelektualnych i emocjonalnych możliwości percepcyjnych. Chcemy też „odbudować i na nowo przywrócić do życia" naturalne dla człowieka, choć ostatnio jakby zapominane umiejętności i skłonności do wspólnej, spontanicznej zabawy. Niby jesteśmy, jakby to rzekł Huizinga: „homo ludens" — ludźmi zabawy, ale w pośpiechu codziennego życia, pod presją postępujących wciąż przemian w tym życiu odchodzimy od tego coraz dalej, popadając w społeczną alienację, obojętność dla drugiego człowieka, w chorobliwy stan anomii. To też jest problem, o którym nie wolno nam zapominać, jeśli mamy pełnić pożyteczne z punktu widzenia najistotniejszych interesów społecznych funkcje. Jak zamierzamy realizować stawiane sobie cele? Trudno mi w tej chwili operować szczegółami — mówi dyr. Michalak — bowiem dopiero co rozpocząłem pracę w teatrze „Pinokio". Ale niektóre propozycje na przyszłość, to np: kabaret dla dzieci a może i dla starszych widzów, spektakle dla publiczności w różnym wieku, dla dorosłych także, nowe formy inscenizacyjne zakładające daleką współpracę z widownią — rodzaj wspólnej zabawy, misterium, happeningu, adaptacje „nietypowych" dla teatru lalkowego utworów literackich, operowanie bogatą plastyką itd. A póki co, już teraz zapraszamy na „Cyberiadę" wg S. Lema, spektakl dla każdego, niezależnie od wieku, zaś w najbliższym czasie chcemy wystąpić z „Dekameronem" Boccaccia, już tylko dla dorosłych. Co dalej — zobaczymy...

DWA TEATRY

Dwie różne koncepcje. Ale przecież nie wykluczają się one, nie kłócą ze sobą, a raczej uzupełniają, tworząc harmonijny fragment naszej łódzkiej rzeczywistości kulturalnej. Dwa teatry, a nie „teatrzyki". DWA TEATRY, a nie dwa spośród wielu. Nasze dwa teatry, łódzkie, z których chyba będziemy mogli być dumni. Zresztą, czas to pokaże, „czas — sędzia sprawiedliwy"...

ZBIGNIEW S. NOWAK

U PRZYJACIÓŁ

Do grona wybitnych indywidualności we współczesnej kinematografii radzieckiej należy m. in. 37-letni reżyser Andriej Michałkow-Konczałowski, twórca takich filmów jak: „Szlacheckie gniazdo", „Pierwszy nauczyciel".

Pierwsza jego praca — film „Chłopiec i gołąb" — zdobyła nagrodę Brązowego Lwa na festiwalu w Wenecji. I od tej pory każdy jego nowy film nie przechodzi bez echa. Konczałowski otrzymuje za nie liczne nagrody i wyróżnienia, ale także stają się one przedmiotem ostrych nieraz polemik.

Zapytany o najbliższy sobie temat, Michałkow-Konczałowski odpowiada: „Najbliższym mi tematem jest człowiek, jego miłość i nienawiść: narodziny, rozwój i śmierć wzajemnych stosunków między ludźmi. To oczywiście wymaga nieustannej analizy i poszukiwań: człowiek na tle przyrody w otaczającym go świecie złudzeń, nawet fanatyzmu. Ta rozległa tematyka wymaga również rzeczowej konsultacji. Moim konsultantem jest widz, który ostatecznie zawsze ma rację. W odróżnieniu od innych reżyserów, jeszcze przed przystąpieniem do zdjęć, za pośrednictwem prasy zwracam się do mojej potencjalnej widowni, aby podzielić się z nią nurtującymi mnie problemami. A trzeba tu podkreślić, że widz kinowy w Związku Radzieckim, bardzo głęboko przeżywający sztukę, również sztuki filmowej nie traktuje li tylko jako rozrywki. Na całym świecie widzowie piszą listy do aktorów, ale nie wiem czy gdziekolwiek poza naszym krajem — również i do reżyserów. Listów takich otrzymujemy sporo i są one dla mnie swego rodzaju wskaźnikiem, co ludzi interesuje i czy pokrywa się to z moimi planami twórczymi. Nie chodzi mi o podobanie się widowni, ale ogromnie ważną dla mnie rzeczą jest, czy mój film pomógł w jakimś stopniu ludziom. To zaś z kolei zależne jest od światopoglądu artysty, a najtrudniejszym dla niego zadaniem jest odnalezienie własnego, indywidualnego widzenia otaczającego go świata. Inna sprawa, że widzenie to może być zupełnie nieinteresujące. Wówczas, no cóż, nie ma o czym mówić. Istnieje wielu rzemieślników, którzy posługują się cudzym punktem widzenia, przeżutym już tysiące razy. Wielkość każdego nowego utworu polega na tym, że mówi on coś zupełnie nowego o rzeczach zadziwiająco zwykłych czy dawnych. Jest to właśnie owo odkrycie świata, właściwe prawdziwym twórcom, niezależnie od ich wieku. W dziedzinie tak mi bliskiej, reżyserii filmowej takim odkrywcą jest Ingmar Bergman. Nie chodzi mi przy tym o jego warsztat i wiedzę profesjonalną, bo to może przyswoić sobie każdy zdolniejszy absolwent szkoły filmowej. Chodzi o to, że Bergman znalazł język, którym może wyrazić wszystko, w sposób jemu tylko właściwy, ale jakże swobodny i zrozumiały.

W moim pojęciu ideałem w sztuce jest korelacja między formą i treścią. Beethoven kiedyś powiedział: „Zrozumiałem, że dopiero wówczas osiągnąłem perfekcję, kiedy przestałem upychać w jednej sonacie treść dziesięciu sonat". Umiejętność ograniczenia się, to właśnie cecha mistrza i geniusza".

Na pytanie o najbliższe plany Michałkow-Konczałowski powiedział, że obecnie wszystkie jego myśli i poczynania koncentrują się wokół jednego celu: stworzenia epickiej epopei pt. „Syberiada". Wspólnie z Walentynem Jeżowem napisał już scenariusz. Jest to obraz życia Syberii na przestrzeni ostatniego stulecia, obraz życia chłopów, robotników wydobywających bogactwa naturalne.

★

Stanisław Grochowiak jest poetą bardzo popularnym w Czechosłowacji. Jest to przede wszystkim zasługą niestrudzonego tłumacza Jana Pilarza, którego ze zmarłym poetą łączyła przyjaźń i bliskość poetyckiej stylistyki.

Pierwszy większy 120-stronicowy wybór wierszy Stanisława Grochowiaka w przekładzie J. Pilarza ukazał się w 1967 r. w serii „Drogi" wydawanej przez „Mladą frontę" i poświęconej współczesnej poezji światowej. Tom zatytułowany „Zaproszenie do miłości" zawierał utwory wybrane z czterech książek Grochowiaka: „Ballady Rycerskiej", „Rozbierania do snu", „Agrestów" oraz „Kanonu". Ponadto weszło do niego kilka późniejszych wierszy autora, nie drukowanych jeszcze wówczas w polskich zbiorach. Wybór opatrzył Pilarz wstępem.

Do poezji Grochowiaka wrócił Pilarz ponownie w „Antologii Współczesnej Poezji Polskiej", opublikowanej w 1974 r. nakładem wydawnictwa „Czeskoslovensky spisovatel", w której znalazły się wiersze 10 autorów.

W Czechosłowacji znane są także teatralne sztuki Stanisława Grochwiaka. Na język czeski przetłumaczono „Króla IV". W ramach Festiwalu Sztuk Autorów Krajów Socjalistycznych radiosłuchacze mieli okazję poznać jego słuchowisko „Partita na instrument drewniany". Istnieje również czeski przekład tego utworu.

TAJLANDIA

POWRÓT DYKTATORA...

Pierwszym symptomem zamachu na demokrację w Tajlandii było pojawienie się nad lotniskiem w Bangkoku, w południe 19 września br., samolotu pasażerskiego nr 718, kompanii „Japan Airlines". Na pokładzie tego liniowca przyleciał stary mężczyzna w pomarańczowej szacie buddyjskiego kapłana. Był to Thanom Kittikaczon, były dyktator Tajlandii, obalony w 1973 roku.

Powrót Kittikaczona wzbudził oburzenie tajlandzkich studentów i niemal natychmiast w Bangkoku rozpoczęły się demonstracje. Osiemnaście dni później, na stadionie sportowym Uniwersytetu Thammasat zebrało się około 5 tysięcy studentów. Ich przywódcy oświadczyli, że studenci dopóty nie opuszczą stadionu, dopóki były dyktator nie zostanie wydalony z kraju.

Grupy młodzieży prawicowej, wśród której było wielu najzwyklejszych chuliganów i awanturników, w większości uzbrojone w broń palną, zebrały się wokół uniwersytetu. W pewnej chwili rzucono na uniwersytet wyborowe oddziały policji, uzbrojone w broń maszynową, granatniki, a nawet armaty bezodrzutowe.

Po godzinnym szturmie policja schwytała pierwszego jeńca: studenta zranionego w brzuch. Rzucił się na niego tłum prawicowców z okrzykami: „Zabić go! Zabić!" Rannego bito pałkami, kolbami karabinów, kopano. Za chwilę już nie żył. Schwytanych studentów odprowadzała policja na boisko piłki nożnej, gdzie kazano im się kłaść z rękami na głowie i katowano bez miłosierdzia. Tłum rozpasanych wyrostków i kryminalistów odnalazł jeszcze jednego rannego studenta. Znów rozległy się wrzaski: „Zabić go!". Natychmiast znalazł się sznur, na którym powieszono go bez litości. Inne grupy prawicowców, w sumie około 10—15 tysięcy ludzi, odnalazły zwłoki dwóch studentów i ciężko ranną studentkę; rzucono ich na płonący stos i spalono.

Tymczasem walka między studentami a policją toczyła się nadal (zginęło w niej 41 studentów), podczas gdy wojskowi robili ostatnie przygotowania do przewrotu państwowego...

O godzinie 18, siedem godzin po kapitulacji studentów, „Radio Thailand" podało oficjalne oświadczenie, iż władzę w kraju przejęła grupa wojskowych, nazywająca siebie „radą reform narodowych"...

Po z górą dwudziestu latach „amerykańskiej ery", Bangkok — stolica Tajlandii — stał się nie tylko ulubionym miejscem rozrywki amerykańskich wojskowych; został on także, w wyniku usilnych zabiegów Pentagonu, przekształcony w główny punkt oporu armii USA w południowo-wschodniej Azji. Jak wielką rolę odgrywała Tajlandia w strategii USA w południowo-wschodniej Azji widać wyraźnie choćby z wypowiedzi niektórych zachodnich polityków, którzy nie bez podstaw uważali, że właśnie obecność wojskowych baz USA w tym kraju odegrała kluczową rolę w decyzji Waszyngtonu wmieszania się, w marcu 1970 roku, do wydarzeń w Kambodży i rozszerzenia agresji w Wietnamie.

Wycofanie amerykańskich wojsk z Kambodży, Laosu i Południowego Wietnamu, głębokie socjalno-ekonomiczne przemiany, jakie nastąpiły w tych krajach w ostatnim czasie, nie mogły nie wywrzeć wpływu na Tajlandię, jak zresztą i na losy tego całego regionu. W ostatnich latach kraj ten, starając się zająć swoje miejsce w powojennej południowo-wschodniej Azji, wydawałoby się, postanowił zrewidować swoją dotychczasową politykę zagraniczną biorąc pod uwagę nową sytuację, jaka nastąpiła w Indochinach.

Jednakże obecność ogromnej cudzoziemskiej armii, co prowadziło faktycznie do utraty samodzielności i suwerenności, pociągnęła za sobą wielki, jednostronny rozwój ekonomiki opartej na handlu i spekulacji, nieuzasadniony wzrost sfery usług oraz instytucji rozrywkowych, kwitnących na rachunek amerykańskich klientów. Zresztą nawet nie na tym polegało niebezpieczeństwo zagrażające przyszłości kraju. Stopniowo tajne służby USA przeniknęły do wszystkich sfer tajlandzkiej administracji państwowej, biorąc pod kontrolę przede wszystkim wojsko i policję.

W 1973 roku, problemy rozdzierające Tajlandię przekształciły się w ostry kryzys wewnątrzpolityczny. Sprzedajność reżimu wojskowej dyktatury marszałka Thanoma Kittikaczona, prowadzona przez niego antynarodowa polityka wewnętrzna i zagraniczna, pogorszenie się materialnej sytuacji szerokich mas ludności doprowadziły w końcu do wybuchu ludowego gniewu, któremu towarzyszyły antyamerykańskie wystąpienia.

Po krwawych starciach z policją, w których zginęło ponad 400 osób, demokratyczne siły społeczne osiągnęły swój cel: 14 października 1973 roku Kittikaczon został zmuszony do ustąpienia. Ludność, oburzona powiązaniami starego dyktatora z armią amerykańską i służbami wywiadowczymi USA, zażądała jego deportacji z kraju.

W rok później, pod naciskiem sił demokratycznych, w Tajlandii przyjęto nową konstytucję. W początku 1975 roku, w wyniku wyborów, władzę w kraju przejął nowy rząd na czele z liderem Partii Akcji Społecznej — Kykritem Pramojem. Jednakże już od samego początku nowy rząd był bardzo ograniczony w działalności państwowej. Silne przeciwdziałania rodziny królewskiej i kół prawicowych, mających oparcie w armii, hamowały decyzje rządu w rozwiązywaniu najbardziej pilnych problemów socjalnych. Obiecane szerokie przeobrażenia demokratyczne nie zostały wprowadzone w życie.

Niepewna sytuacja jaka wytworzyła się latem tego roku, a z drugiej strony umocnienie wpływów postępowych warstw społeczeństwa, doprowadziły z kolei do gwałtownej aktywizacji reakcyjnych sił proamerykańskich, które poczuły się zagrożone w swoich pozycjach. To właśnie na ich usilną prośbę, a przede wszystkim na żądanie wojskowej „góry", jesienią tego roku powrócił nieoczekiwanie do kraju były dyktator, marszałek Thanom Kittikaczon, triumfalnie witany przez koła reakcyjne. Obłudne oświadczenie byłego dyktatora, że powrócił do kraju, żeby przygotować do drogi w „inny świat" swego sędziwego ojca, nie mogło wprowadzić w błąd demokratycznych sił w kraju; widziały one w powrocie znienawidzonego marszałka — satrapy związanego z CIA, dowód przygotowywanego spisku reakcji. Przez cały kraj przetoczyły się masowe demonstracje z żądaniami ponownej deportacji Kittikaczona z kraju.

W tym bardzo krytycznym momencie rząd znów przejawił zadziwiającą bezradność. Zamiast wydalić marszałka z kraju, ograniczył się do odwołania się do jego „obywatelskiego sumienia" i próśb. Walka wokół sprawy byłego dyktatora przekształciła się w próbę sił między reakcją a siłami demokratycznymi, między proamerykańskimi zausznikami a zwolennikami prawdziwie niezależnego rozwoju kraju. Stany Zjednoczone, pomne nauk wyniesionych z Wietnamu, Laosu i Kambodży, zawczasu przygotowały swoich protegowanych do tej rozgrywki. Armia tajlandzka, kontrolowana przez prawicę, uważnie śledziła wydarzenia, żeby — doczekawszy się ostatecznego upadku prestiżu rządu — zadać cios siłom demokratycznym i zagarnąć władzę w kraju...

22 października br. w dwa tygodnie po przewrocie państwowym, kiedy władzę znów zagarnęła junta wojskowa. Tajlandia otrzymała nową konstytucję i nowy rząd. Pozostawiono w mocy represyjne ustawy, nie ustają aresztowania „elementów wywrotowych", prześladuje się Wietnamczyków i Laotańczyków. Na arenie międzynarodowej obecny reżim w Bangkoku dokłada starań, żeby umocnić stosunki z Waszyngtonem, także w planie współpracy wojskowej. Nowy premier, Thanin Kraiwiczen, znany ze swoich antykomunistycznych poglądów, ogłosił skład 17-osobowego gabinetu ministrów, w większości ludzi mało znanych, podobnie zresztą jak i on sam. Ministrem spraw zagranicznych został ambasador Tajlandii w Stanach Zjednoczonych, co mówi samo za siebie. Nieco wcześniej król Pumipon Aduliadet zaaprobował nową konstytucję, przedstawioną mu przez przewodniczącego wojskowej narodowej rady reform administracyjnych — admirała Sangadoma Czaloriu.

Premier ogłosił już „program kierowanej demokracji" obliczony na 16 lat! Przewiduje on wiodącą rolę wojskowych we władzach kraju, co widać zresztą już teraz, wojskowi bowiem zostawili sobie duże pole manewru w kontrolowaniu poczynań rządu, zachowując funkcje „doradców". Głowa junty, admirał w stanie spoczynku, S. Czaloriu został ministrem obrony, a były dowódca sił lądowych Tajlandii — Bunczai Bamruhphong — jest jednym z dwóch wicepremierów. Chociaż nowy rząd został już sformowany, poprzednie zarządzenia junty pozostały w mocy. Zakazują one, m. in., działalności partii politycznych, dają szerokie pełnomocnictwa policji i żandarmerii wojskowej w zakresie aresztowań i przetrzymywania w więzieniach potencjalnych „elementów wywrotowych" zabraniają strajków i wprowadzają w Bangkoku stan wyjątkowy na czas nieograniczony...

JERZY CZECH

■ ROZŁAM Z DUŻYMI NASTĘPSTWAMI
■ ZAPOWIEDŹ WYBORÓW W HISZPANII
■ KOLEJNE AMERYKAŃSKIE „NIE"

Koniec minionego tygodnia przyniósł wręcz sensacyjną wiadomość. Oto **bawarska CSU postanowiła utworzyć w Bundestagu własną frakcję polityczną**, a tym samym zerwać unię z CDU, którą połączona była od lat. Odtąd więc F. J. Strauss, przywódca bawarskiej CSU, grać będzie wyłącznie na swoje konto.

Przyczyną rozłamu jest podobno niezgodność poglądów Kohla i Straussa na temat taktyki, jaką powinna stosować chrześcijańska demokracja. Po przegranej w wyborach parlamentarnych CDU/CSU jej przewodniczący — H. Kohl chciał zmierzać do zbliżenia z FDP, aby w ten sposób w przyszłości zmontować z nią większość w Bundestagu, Strauss natomiast nawoływał do pełnej konfrontacji z partiami koalicji rządowej. Nie był to jednak wyłączny powód. Strauss, który, jak wiadomo, szykował się do objęcia stanowiska ministra finansów w rządzie Kohla, ale równocześnie zapowiadał wywieranie wpływu na politykę zagraniczną RFN, odczuł bardzo boleśnie wyborczą porażkę. Chce więc faktem zerwania sojuszu zrzucić winę za niepowodzenia na „umiarkowanie" Kohla. **Tak czy inaczej decyzja CSU osłabia chrześcijańską demokrację i jednoznacznie wzmacnia pozycję socjaldemokracji.** W nowej sytuacji SPD wyrasta na największą siłę polityczną Republiki Federalnej Niemiec.

Za bardzo ciekawe wydarzenie tygodnia trzeba też uznać **decyzję hiszpańskiego parlamentu o przyjęciu rządowego projektu reform politycznych.** Projekt ten zapowiada wyłonienie drogą wyborów powszechnych dwuizbowego parlamentu. Za siedem miesięcy odbędą się zatem pierwsze od 40 lat wybory, a frankistowski parlament przejdzie niesławnie do historii. Wszystko to wydarzyło się niemal w przeddzień pierwszej rocznicy śmierci caudillo, która zresztą przez siły faszystowskie uczczona została demonstracyjnym pochodem i oskarżaniem parlamentu o zdradę.

Rzeczywiście, wynik głosowania w Kortezach wskazuje, że projekt ograniczonych reform poparła również część starej i nowej prawicy (za projektem padło 425 głosów, przeciwko — 59, a 13 deputowanych wstrzymało się od głosu). Stało się to niemal w ostatniej chwili — po obietnicach premiera Adolfo Suareza, że tych, którzy nie zostaną wybrani, odpowiednio urządzi, a także po wprowadzeniu do ordynacji wyborczej pewnych poprawek. **Rezultat okupiony został przeto rządowym kompromisem i osłabia ostateczną wymowę faktu.** Siły prawicy jeszcze nie raz dadzą o sobie znać, hamując proces ograniczonych przemian, do jakich dąży rząd.

Prawie od pierwszego dnia po śmierci Franco coś zaczęło się zmieniać w wewnętrznej sytuacji Hiszpanii. Zatwierdzony przez parlament rządowy projekt reform jest tych zmian jeszcze jednym potwierdzeniem. Nadal jednak nie czyni wiosny. Wystarczy przecież przypomnieć, że ciągle brak aktu prawnego, który legalizowałby działalność partii komunistycznej.

Najbliższy okres, poprzedzający wybory, będzie na pewno bardzo ciekawy w życiu Hiszpanii. **Czy jednak uwolni całkowicie kraj od frankistowskich sił i mechanizmów działania — można mieć wątpliwości.** UPI na przykład przewiduje, że chociaż największe szanse mają chrześcijańscy demokraci i socjaliści — ok. 20 proc. głosów może paść na frankistów.

Z licznych wydarzeń tygodnia odnotujmy w kolejności **amerykańskie weto w sprawie przyjęcia Wietnamu do Organizacji Narodów Zjednoczonych.** Ponowne „nie" wywołało falę krytycznych głosów również w Stanach Zjednoczonych. Dlaczego ustępująca administracja tak kurczowo trzyma się starych zasad? — zastanawia się wielu komentatorów. „Nie ma żadnego narodowego powodu — pisze np. „New York Post" — który by dyktował taką politykę". Gazety przypominają, że za każdym razem administracja wysuwa inne argumenty, aby nie powiedzieć „tak", co upewnia, iż mamy tutaj do czynienia wyłącznie z manipulacjami dyplomatycznymi. Ich stosowanie narusza zasadę uniwersalizmu ONZ, za którą wypowiadają się również Stany Zjednoczone. Ten „twardy akord" administracji Forda nie ma najmniejszego sensu i więcej czyni zła niż to się Waszyngtonowi wydaje.

Przytoczone powyżej opinie są bardzo charakterystyczne. **Świadczą raz jeszcze o tym, jak niepopularna była i jest waszyngtońska gra wobec Wietnamu.**

Przegląd zakończmy optymistycznym stwierdzeniem, że **w Libanie wreszcie stabilizuje się sytuacja** i życie powraca do normy. Nad przestrzeganiem pokoju czuwają międzyarabskie siły bezpieczeństwa, które stacjonują w wielu rejonach kraju. Liban, po długim okresie wyniszczających walk, staje więc wobec pokojowej szansy.

W. SŁAWSKI

SPORT

KOMU WIERZYĆ?

Wyjątkowo ciekawy przebieg miała ostatnia pomeczowa konferencja prasowa na stadionie ŁKS. Trener zespołu piłkarskiego Legii, Andrzej Strejlau wysoko ocenił poziom łódzkiego meczu i chyba nie przez kurtuazję określił, że było to lepsze spotkanie nawet od tych, które wojskowi rozstrzygnęli w tej rundzie na swoją korzyść. Nie widzę również powodu do krytyki zbyt ostrych starć — kontynuował dalej. Tak się teraz gra w futbol na całym świecie i nasi zawodnicy powinni jak najrychlej do tego typu walki się przyzwyczaić. Chciałbym przy okazji przypomnieć starą prawdę. Kibica nie interesuje, co trener przerabia na zajęciach, jak ustawia drużynę, co jej zaleca w swych założeniach taktycznych, kibica interesuje końcowy wynik meczu. Ładnie dla oka grający nie zawsze zwycięża. Stąd właśnie bierze się początek agresywnej walki na boisku.

W podobnej tonacji utrzymał swe wystąpienie trener Leszek Jezierski. Mówił od swego kolegi po fachu krócej, jakby przeczuwając, że wypadnie mu jeszcze wiele spraw wyjaśnić. I zgadł. Ledwie skończył, już padło pierwsze pytanie: dlaczego po kilkunastu minutach zszedł ze swego posterunku Tomaszewski?

— Już przed meczem Tomek skarżył się na złe samopoczucie i podwyższoną temperaturę. Zmierzyliśmy mu gorączkę. Rtęć w termometrze wykazała 36,1. Więc osłabienie. Moim zdaniem, Tomek spalił się przed zawodami. Za intensywnie o nich myślał, nerwowo snuł dla siebie horoskop. Stracił w końcu zaufanie do swych potencjalnych możliwości. Albo za bardzo przeląkł się bombardierów Legii, albo, co w sporcie się zdarza, odezwała się w nim chwilowa panika przed wizją krytycznych momentów. Nie miałbym jednak odwagi nazwać jego kroku dezercją. Rzecz wymaga wnikliwszych badań.

— A co się stało z pańską drużyną przy egzekwowaniu przez Legię rzutu wolnego, z którego Cmikiewicz zdobył dla swych barw drugą i już tym razem wyrównującą bramkę?

— Rozum, rozum panowie w tym momencie zawiódł. Zamiast dobiec do ustawionej przez legionistów piłki, przedłużyć w ten sposób czas wykonania rzutu wolnego, moi zawodnicy tak fatalnie ustawili się w murze, jakby po raz pierwszy w ich sportowej karierze coś podobnego im się zdarzyło. Doświadczony Cmikiewicz bez chwili namysłu wykorzystał ów chaos pod naszą bramką i tylko należą mu się gratulacje.

— Dlaczego legioniści próbowali protestować po strzeleniu przez ŁKS trzeciej bramki?

Pierwszy odpowiada L. Jezierski:

— Akurat w tym czasie coś mówiłem do sąsiada na ławce rezerwowych i proszę mi wierzyć, że dokładnie całości tej akcji nie widziałem. Po meczu Marchewka mi oświadczył, że zdobył gola prawidłowo, barkiem.

— Niewiele dowiecie się i ode mnie — włączył się do dyskusji A. Strejlau. Za daleko od tego miejsca, z którego padła bramka, siedziałem. Nie wyobrażam sobie jednak, by Kazio Deyna bez powodu tak zapalczywie mógł reklamować nieprawidłowość zdobytego przez Marchewkę gola.

Gdyśmy się już wszyscy na temat meczu dobrze wygadali, a zamknięte notesy stały się sygnałem do zakończenia konferencji, uwagę wszystkich zwróciło nagłe ukazanie się w drzwiach kapitana drużyny Legii. Tego program nie przewidywał. Nasz dobry znajomy z boiska, Kazimierz Deyna poprosił o głos i tak zaczął:

— Doszedłem do przekonania, że nasi sędziowie popełniają zbyt wiele błędów, ofiarą których padła już parokrotnie Legia. Aby nie sięgać daleko w przeszłość, przywołuję wypadek z dzisiejszego meczu. Stałem blisko Marchewki. Widziałem, jak uciekającą piłkę zagarnął ręką. Sędzia tego nie dostrzegł. Efekt? Zeszliśmy z boiska pokonani. To boli. To więcej irytuje i boli od zasłużenie poniesionej porażki, bo w tym drugim wypadku jedynymi winowajcami jesteśmy my, i tylko my, nikt inny.

K. Deyna odjechał autokarem ze swą drużyną do Warszawy, ale w szatni odpoczywał jeszcze sędzia główny zawodów, Z. Słabik z Katowic. Powtórzyłem mu zarzut postawiony przez kapitana Legii. Opowiadał wam bajkę — odparł stanowczym głosem. On, stał blisko Marchewki, a ja co, orzechy w tym czasie łuszczyłem? Również byłem tuż tuż obok tego zawodnika. Widziałem cały przebieg zdobycia bramki. Marchewka właśnie ze swą ręką uciekał, że tak powiem do tyłu, by piłki nie dotknąć, a pchnął ją do bramki piersią.

Komu wierzyć?

WŁADYSŁAW LACHOWICZ

HIPOTEZY

ZBIGNIEW BLANIA

CZY LATAJĄCE TALERZE LĄDOWAŁY na ZIEMI?

Współpracownicy „Flying Saucer Review", angielskiego czasopisma poświęconego owym nie wyjaśnionym fenomenom powietrznym, nadesłali w 1965 roku, tylko z terenu Ameryki Łacińskiej, aż 800 raportów o pojawieniu się Niezidentyfikowanych Obiektów Latających (NOL) z czego 51 mówiło o lądowaniach, a 25 dotyczyło pojawienia się humanoidów. Był to rok, pod względem ilości obserwacji, szczególny — fala doniesień osiągnęła wówczas szczyt, dlatego nazwano go „rokiem cudów".

Gordon Creighton z „Flying Saucer Review", analizując materiały z Ameryki Łacińskiej, zebrał razem 65 przypadków dotyczących lądowań na Ziemi i pojawienia się jakichś tajemniczych istot. Lista ich kończy się na 1965 r. Od tego czasu — pisze on — dziesiątki i dziesiątki nowych doniesień napłynęły z wszystkich stron świata.

Badacze sądzą, że stoimy obecnie przed następującą alternatywą: albo Ziemia znajduje się pod dyskretną obserwacją psychozoików z Kosmosu, albo wszystkie bez wyjątku zeznania świadków nie pokrywają się z prawdą. Jeśli opowiemy się za drugim członem owej alternatywy, to pojawia się nie mniej fascynująca zagadka: czy ludzkość dotknięta jest jakimś nowym rodzajem zaburzeń psychicznych, manifestujących się tym, że niektórzy ludzie donoszą o zetknięciu się z pozaziemską techniką i przybyszami z wrzechświata. Rzecz jasna, sami świadkowie nie zawsze posługują się terminami „Latające Talerze" czy NOL — nierzadko o Latających Talerzach nigdy nie słyszeli i sądzą, że zobaczyli demony lub diabły. Owa szczególna ignorancja świadków przemawia wówczas przeciwko podejrzeniu, że wypadki zostały opisane w taki sposób, by pewne istotne szczegóły odpowiadały naszej wiedzy o zjawisku NOL, że świadkowie skonstruowali tzw. „pułapkę na głupców".

Jedną z cech wyróżniających raporty z terenu Ameryki Łacińskiej jest to, że ludzie, którzy donoszą o lądowaniach, są często analfabetami lub półanalfabetami. Bywają więc zwykli rolnicy uprawiający swoje pola daleko od centrów cywilizacji, Indianie żyjący na niskim szczeblu rozwoju kulturowego, rybacy zajmujący się wyłącznie swoją pracą i pozbawieni kontaktu ze środkami masowego przekazu... Jest to o tyle cenne, że zmniejsza się prawdopodobieństwo umyślnego wprowadzenia w błąd, to jest sporządzenia takiej relacji, która odpowiadałaby znanym powszechnie schematom i wzorcom zawartym w materiałach o NOL. Owi świadkowie musieliby w takim przypadku dysponować pewną o tym wiedzą — tymczasem wielu południowoamerykańskich świadków nigdy nie słyszało o Latających Talerzach, a są i tacy, którzy mają marne rozeznanie w tym, co dzieje się na świecie, z powodu zamknięcia się w małych, względnie izolowanych grupach społecznych.

Współpracownicy „Flying Saucer Review" przeprowadzali wywiady nie tylko z bezpośrednimi bohaterami incydentów, ale robili także coś w rodzaju wywiadu środowiskowego, zbierając informacje z kręgów, w jakich obracali się świadkowie. Wszystko to pozwoliło na ustalenie pewnych społecznych cech ankietowanych: stopnia wykształcenia, stopnia zainteresowania sprawami współczesnego świata, możliwości odbioru informacji ze środków przekazu masowego itp.

Ów, wyróżniający się brakiem wykształcenia, typ świadków posiadać mógłby aspekt ujemny. Pojawia się bowiem możliwość, że mamy do czynienia z seriami zwykłych pomyłek, że osobnicy o mentalności z czasów feudalnych, ignoranci w sprawach współczesnej techniki nie są w stanie rozpoznać w owych zagadkowych pojazdach naszych własnych, ziemskich wytworów: samolotów, pojazdów prototypowych, eksperymentalnych, helikopterów czy poduszkowców. Jednak możliwość tę jako regułę należy zdecydowanie odrzucić.

Do wiarygodności zeznań świadków donoszących o tych fantastycznych incydentach próbowano dobrać się na wiele sposobów. Badano na przykład, czy pewne cechy społeczne świadków wchodzą w korelację z typem opisywanych przeżyć. Gdyby okazało się bowiem, że tylko określone jednostki, charakteryzujące się jakimiś specyficznymi cechami psychicznymi lub społecznymi, dokonują obserwacji lądowań i zjawiania się humanoidów, byłyby podstawy do zakwestionowania takich raportów. Niestety — powiada prof. **Allen Hynek** — żadna korelacja nie istnieje; z punktu widzenia wszystkich cech wziętych pod uwagę w analizie rozpatrywana zbiorowość nie chce się różnicować. Na łamach **„Journal ot the Medical Society of New Jersey"** amerykański psychiatra, **Berthold Schwarz**, ogłosił wyniki swoich badań, z których wynika, że spośród przebadanych przez niego 3400 pacjentów o różnych zaburzeniach psychicznych prawie nikt nie twierdził, że zetknął się z NOL.

Po tych wyjaśnieniach zaprezentujmy kilka przykładów.

1. Rio Pardo. Brazylia. 4 listopada 1954 r.

Biedny rybak brazylijski, Jose Alvos de Pantal, łowił owej nocy ryby w Rio Pardo. Noc była spokojna i pogodna, okolica bezludna i cicha. W pewnym momencie zobaczył nisko na niebie dziwny pojazd w kształcie „dwóch misek nałożonych jedna na drugą". Pojazd ów zbliżał się szybko w kierunku rzeki i nagle, gdy znajdował się blisko rybaka, zaczął gwałtownie opadać. Wylądował tak blisko Alvosa, że ten mógłby dotknąć go ręką. Zbyt przerażony i zdumiony, żeby uciec, rybak zamarł w bezruchu. Po chwili zauważył wylaniające się z wnętrza, obiektu trzy niewielkie wzrostem istoty ubrane na biało. Posiadały jakieś, ściśle dopasowane nakrycia głowy. Uderzyła go także barwa ich skóry — była ciemna, prawie czarna. Nie zwracając uwagi na przestraszonego mężczyznę, istoty zaczęły zbierać próbki traw, roślin i liście drzew. Jedna z nich napełniła wodą z rzeki błyszczący przedmiot. Następnie weszły do środka pojazdu, który uniósł się pionowo w absolutnej ciszy i natychmiast z błyskawiczną szybkością zniknął z pola widzenia. Jose Alvos w życiu nie słyszał o Latających Talerzach. Myślał, że zobaczył demony...

2. Caracas. Wenezuela. 28 listopada 1954 r.

O drugiej nad ranem dwaj młodzi mieszkańcy Caracas, Gustavo Gonzales i Jose Ponce, prowadzili furgon na przedmieściach stolicy, gdy ujrzeli, że droga przed nimi zablokowana jest przez świecącą kulę o średnicy 3—4 m szybującą nad jezdnią. Gonzales wysiadł z szoferki, aby lepiej przyjrzeć się zjawisku. W tej samej chwili został niespodziewanie zaatakowany przez fantastyczne stworzenie — owłosionego, najeżonego karła, który, choć pozornie lekki, okazał się tak silny, że jego uderzenie odrzuciło Gonzalesa na 5 m do tyłu. Upadł, a karzeł dopadł go jednym susem. Gonzales zdążył jednak wydobyć nóż i pchnął silnie, ale ostrze ześliznęło się po włochatym ciele stworzenia, jakby zbudowany był ze stali. W trakcie szamotaniny jakaś inna istota wyłoniła się z kuli i oślepiła Gonzalesa przenikliwym światłem pochodzącym z urządzenia, które trzymała w ręku. Owłosiony stwór odskoczył i znikł wewnątrz pojazdu. Obserwujący z szoferki owe błyskawicznie rozgrywające się wypadki Jose Ponce zauważył dwie nowe postacie wychodzące z krzaków. Niosły coś, co przypominało grudy ziemi lub kamienie. Wszystkie istoty wskoczyły do środka kuli, która zabłysła światłem i z ogromną szybkością wzbiła się pionowo w powietrze.

Ponce pobiegł co sił w nogach do najbliższego posterunku policji i złożył raport. Wkrótce przybył tam także Gonzales, skrajnie wyczerpany i przerażony. Opowiadanie o owym zdumiewającym i niewiarygodnym incydencie trudno było uznać za coś innego, niż wytwór fantazji lub żart. Jednakże długie, głębokie i krwawiące jeszcze zadrapania na ciele Gonzalesa, były realnością. Obydwu histeryzujących mężczyzn oddano w ręce lekarzy.

I wtedy w historii dokonał się nieoczekiwany zwrot. Jeden z lekarzy opiekujących się Gonzalesem i jego kolegą oświadczył, że wie z całą pewnością, iż relacja świadków jest autentyczna. On sam wracał nad ranem od jednego ze swoich pacjentów i widział na własne oczy owąbójkę. Lekarz ten udał się wkrótce do Waszyngtonu, aby przedyskutować ten wypadek z amerykańskimi ekspertami.

3. Linha Bela Vista. Brazylia. 9 grudnia 1954 r.

Wieczorem tego dnia rolnik Olmira da Costa uprawiał swoje plantacje fasolki szparagowej i kukurydzy, oddalone o około 4 km od Venancio Aires, gdy usłyszał jakiś podejrzany dźwięk dobiegający z góry. Przypominał mu odgłos maszyny do szycia. Spostrzegł jednocześnie, że zwierzęta na pobliskim pastwisku uległy panice. Kiedy rozglądał się w poszukiwaniu źródła dźwięku, zobaczył jakiś obiekt w kształcie kolosalnego kasku, który otoczony mgłą i dymem, szybował nad ziemią. Po chwili opadł w dół i wylądował. Rolnik zbliżył się jeszcze bardziej i oczom jego ukazały się trzy istoty. Jedna znajdowała się wewnątrz aparatu, druga badała ogrodzenie z drutu kolczastego, a trzecia wolnym krokiem zmierzała w kierunku rolnika. Da Costa upuścił ze zdziwienia motykę. Zbliżający się wolno osobnik uśmiechał się, podniósł motykę, obejrzał ją dokładnie, po czym oddał właścicielowi. Pochylił się jeszcze i zerwał kilka roślin. Rolnik stał jak wmurowany w ziemię, kiedy dziwne istoty weszły do wnętrza pojazdu. Aparat uniósł się na 10 m, a później z piorunującą szybkością umknął na zachód. Rolnik, całkowity analfabeta, nigdy nie słyszał o Latających Talerzach.

4. Ta sama okolica w dwa dni później

O 5 po południu, w okolicy oddalonej o niecałe 2 km od miejsca opisanego w poprzednim przypadku, inny rolnik, Pedro Morais, zauważył dziwne podniecenie wśród kur i kaczek. Podniósł głowę w poszukiwaniu jakiegoś drapieżnego ptaka i zobaczył obiekt, którego spodnia część podobna była do „ogromnego wypolerowanego kotła z miedzi", a część górna przypominała „budę jeepa". Przedmiot unosił się nisko nad polem i wydawał dźwięk „jakby maszyny do szycia". Pedro Morais nie wiedział, jak to się stało, że pojawiły się nagle jakieś istoty w pobliżu aparatu. Były maleńkie i miały kształt człowieka. Nie mógł dojrzeć ich twarzy — odległość zbyt duża. Zanotował jedynie, że osobnicy ci ubrani byli w, jak to określił, „żółte worki". Zły, że chodzą po jego polu, ruszył w ich kierunku. Wtedy jedna z istot zaczęła do niego biec, podczas gdy druga podniosła rękę w geście, jakby chciała kogoś powstrzymać. Pierwszy osobnik zatrzymał się, schylił i wyrwał jedną roślinkę tytoniu. Potem obie wróciły do statku, który uniósł się i zniknął w przeciągu kilku sekund.

5. Autostrada transandyjska w Wenezueli. Noc 10 grudnia 1954 roku

Dwaj młodzi ludzie, Lorenzo Flores i Jesus Gomez, polowali w pobliżu autostrady między Chico a Cerro de les Tres Torres. W pewnej chwili zobaczyli, ku swemu zdumieniu, świecącą maszynę o średnicy kilku metrów, unoszącą się 70 cm nad ziemią. Wyglądała jak „dwie ogromne miski umieszczone jedna na drugiej". Ze spodniej części owego obiektu wydobywały się płomienie. Zdumieni mężczyźni stali bez ruchu i przypatrywali się zagadkowej machinie, gdy cztery maleńkie „istoty ludzkie" rzuciły się w ich stronę. Mierzyły około metra wzrostu. Jedna z nich podbiegła do Gomeza i wymierzyła weń jakiś nieznany aparat. Lorenzo Flores uderzył wtedy z całej siły trzymaną w ręku fuzją drugą istotę, lecz broń rozpadła się na kawałki. Gomez ze strachu stracił przytomność Kiedy ocknął się, pojazd szybował już nad ziemią. Gnani przerażeniem dotarli do posterunku policji i złożyli zeznania. Policjanci zanotowali w raporcie, że ciała świadków nosiły ślady walki: głębokie krwawiące zadrapania, rany tłuczone. Ubrania ich były w strzępach.

6. Quebracoco. Brazylia. Noc 10 października 1957 r.

Tej nocy hiszpański oficer marynarki, Miquel Espanol i jego kolega podróżowali razem ciężarówką, jadąc w kierunku Ceres. W pewnym momencie natknęli się na NOL. Najpierw na niebie unosił się jakiś tajemniczy przedmiot, który później zniżył się oświetlając całą okolicę. Silnik samochodu zgasł i z wnętrza nie dającej się uruchomić ciężarówki obaj świadkowie przymusowo obserwowali dalszy ciąg wydarzeń. NOL opadał na ziemię. Pojazd był przeraźliwie wielki. Jego gigantyczne rozmiary oszacowali świadkowie na 170 m średnicy i 10 m wysokości, miał kształt owalny lub formę spodka z długim, wychodzącym z kopuły prętem zakończonym czerwonym, jarzącym się punktem. Nagle latający potwór wygasił wszystkie swoje światła i dwaj mężczyźni ujrzeli siedem małych istot wzrostu dziecka, z długimi włosami i świecącymi kombinezonami. Istoty te wyłoniły się z otworu znajdującego się w statku i przyglądały się im w milczeniu przez około trzy minuty. Następnie olbrzymia maszyna odleciała zostawiając jednocześnie mały dysk. I ten zniknął wkrótce na północy, podczas gdy duży kierował się na południe.

7. Prowincja Pampa. Argentyna. 24 maja 1962 r.

Tego dnia południowoamerykańska stacja telewizyjna ogłosiła, iż pewna wieśniaczka została zabrana do szpitala z powodu szoku nerwowego, jakiego doznała, będąc świadkiem lądowania nieznanego pojazdu i widząc istoty „podobne do robotów". Mąż owej kobiety, także rolnik, znajdował się razem z nią i potwierdził wszystkie uzyskane od niej informacje. Armia argentyńska wysłała natychmiast swoich ekspertów na miejsce wskazane przez rolnika. W rejonie lądowania znaleziono krąg wypalonej trawy o średnicy 6 m.

8. Północno-zachodni Urugwaj. 11 przed południem. 15 sierpnia 1965 roku.

Pięć osób podróżujących samochodem zauważyło w pewnej chwili silne światło, usłyszało straszliwy warkot i ujrzało promieniujący światłem dysk, lądujący na drodze, tuż przed maską samochodu. Silnik ich wozu przestał pracować. Świadkowie zeznali, że obiekt zajmował całą szerokość drogi, mierzył 3 m wysokości i wyglądał jakby był zbudowany z ołowiu. Trzy osoby spośród pasażerów zemdlały — dwie pozostałe skamieniały w bezruchu. Wewnątrz NOL jaśniała słabo zielonkawa poświata, która pozwoliła rozróżnić trzy humanoidale, postacie, które chodziły i poruszały ramionami. Po kilku minutach Latający Spodek uniósł się metr nad ziemię, poszedł pionowo w górę i zginął za horyzontem.

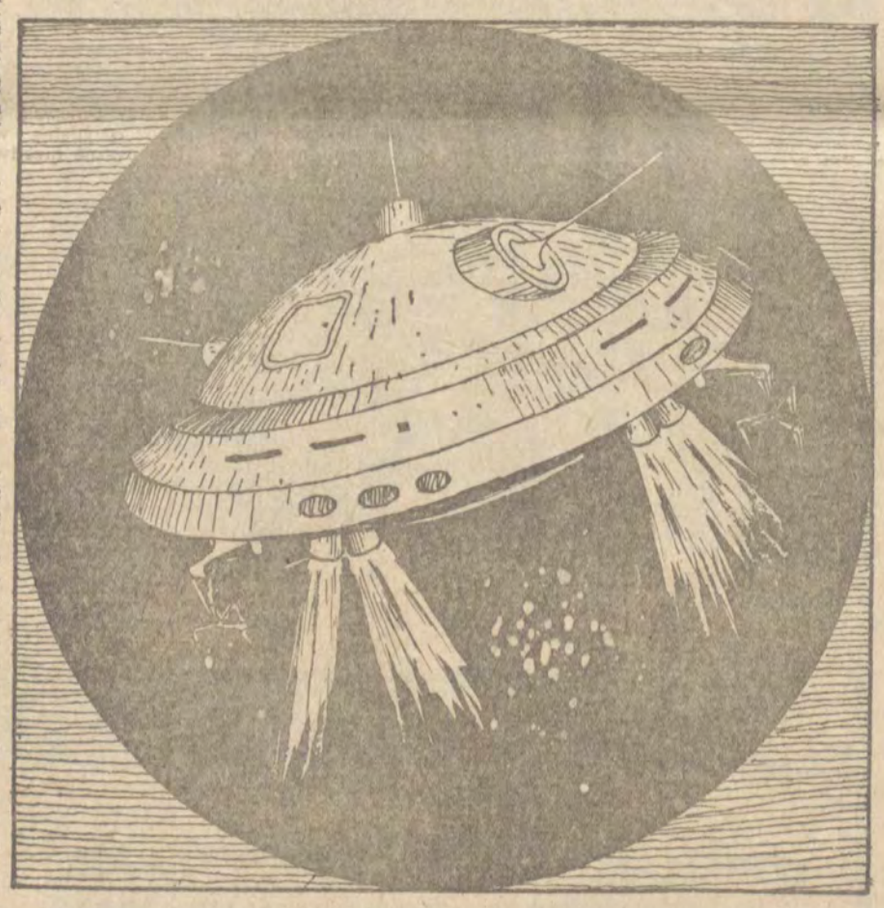

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Incydenty opisane powyżej stanowią mały wycinek wszystkich wydarzeń zarejestrowanych przez Gordona Creightona. Przypomnijmy, że pochodzą one tylko z terenu Ameryki Łacińskiej. W archiwach badaczy NOL znajdują się raporty pochodzące ze wszystkich stron świata. Lecz co o nich sądzić? Jaką posiadają wartość?

W jednej z dyskusji o lądowaniu NOL wygłosił ktoś opinię, że gdyby istoty rozumne z kosmosu r z e c z y w i ś c i e lądowały czasami na Ziemi, mogłyby najspokojniej ujawnić swoją obecność nie tylko pojedyńczym osobom, ale i całym grupom, gdyż i tak nikt z nas nie uwierzyłby w opowieści naocznych świadków.

No cóż, możemy i my w to nie uwierzyć...

NAUKA I TECHNIKA

Jaką rolę we współczesnym świecie, we współczesnych społeczeństwach pełni nauka i technika? Jest to bardzo ważne pytanie. Nie bez powodu przecież drugą połowę XX wieku nazywamy okresem, w którym dokonuje się rewolucja naukowo-techniczna. A co to jest rewolucja naukowo-techniczna?

„...rewolucja naukowo-techniczna jest to zasadniczy przewrót w siłach wytwórczych współczesnego społeczeństwa dokonany przy wiodącej roli nauki."

Jest to najkrótsza, bardzo lapidarna definicja rewolucji naukowo-technicznej. Zawarta ona jest w ostatnim rozdziale, obok innej bardziej wyczerpującej definicji, w książce pt. **„CZŁOWIEK — NAUKA — TECHNIKA".** Książka ta nosi wielce znamienny podtytuł: **„Próba marksistowskiej analizy rewolucji naukowo-technicznej".** Takiej próby dokonali pracownicy **Instytutu Filozofii i Instytutu Historii Nauk Przyrodniczych i Techniki Akademii Nauk ZSRR** oraz **Instytutu Filozofii i Socjologii Czechosłowackiej Akademii Nauk.** Jest to więc dzieło zbiorowe, zrodzone z potrzeby znalezienia odpowiedzi na pytania, jakie nurtują współczesnego człowieka. Są to pytania o sens dokonującej się rewolucji naukowo-technicznej, o jej skutki, o jej cele. Komu ona ma służyć? Człowiekowi? Czy też działają tu siły przez człowieka wyzwolone, nad którymi stracił on kontrolę?

Aby znaleźć odpowiedź na te pytania i wiele innych radzieccy i czechosłowaccy naukowcy posłużyli się marksistowskimi metodami analizowania rzeczywistości i wyczerpująco przedstawili wyniki dokonanych badań nad wieloma aspektami trwającej rewolucji naukowo-technicznej. A tytuł pracy: „Człowiek — nauka — technika" pokazuje, że szukając odpowiedzi na nurtujące nas pytania interes ludzi mieli na pierwszym względzie. „W społeczeństwie socjalistycznym — czytamy w zakończeniu książki — ...nie ma żadnego gruntu do powstawania nieprzejednanych i nierozwiązywalnych antagonizmów — w tym również między rewolucją naukowo-techniczna a człowiekiem".

„Człowiek — nauka — echnika, Próba marksistowskiej analizy rewolucji naukowo-technicznej". przekład z rosyjskiego. Książka i Wiedza, Warszawa 1976, str. 392, cena: zł 70.

DEMOKRACJA SOCJALISTYCZNA

W serii Książki i Wiedzy zatytułowanej: „Ideologia a współczesność" ukazała się praca zbiorowa pod tytułem: **„ISTOTA I ROZWÓJ FORM DEMOKRACJI SOCJALISTYCZNEJ".** Książka ta zrodziła się z powszechnego zainteresowania rozwojem form demokracji socjalistycznej, jej istotą i sposobem spełniania się w naszych warunkach.

„Demokracja socjalistyczna —czytamy w książce — jest bowiem wyrazem funkcjonowania państwa socjalistycznego, jego ewolucji i rozwoju mechanizmów form życia społeczno-ekonomicznego, politycznego, ideologicznego itd. Dlatego należy nieustannie śledzić te nowe zjawiska, uogólniać je, wytyczać nowe kierunki dla praktycznej działalności".

Czytelnik znajdzie w książce rozważania o marksistowskiej koncepcji demokracji socjalistycznej humanizmie demokracji socjalistycznej, roli partii w systemie demokracji socjalistycznej, a także rozważania o ekonomicznych podstawach rozwoju demokracji socjalistycznej. Znajdzie też porównanie naszego systemu partyjnego do innych systemów partyjnych funkcjonujących w Europie. A poza tym rozważania o roli FJN, związków zawodowych, różnych form samorządu, stowarzyszeń, o funkcjonowaniu sądownictwa, instytucji oświatowych i placówek naukowych oraz o problemach wynikających z układu urząd — obywatel, które też mają znaczenie dla prawidłowego funkcjonowania różnych form demokracji socjalistyczne'

„Istota i rozwój form demokracji socjalistycznej", Praca zbiorowa pod redakcją: Albina Koprukowniaka, Władysława Kucharskiego i Wiesława Skrzydło, Książka i Wiedza, Warszawa 1976, str. 418, cena: zł 30,—

CZŁOWIEK I ENERGIA

„Energia stanowi podstawę życia i rozwoju ludzkości, jest tak potrzebna jak powietrze i woda. Bez pomocy energii człowiek byłby zdany na łaskę i nie osiągnąłby nawet małej cząstki tego rozwoju gospodarczego i technicznego, jaki jest dziś jego udziałem".

Tak zaczyna się książka Kazimierza Kopeckiego, profesora zwyczajnego, przewodniczącego Komitetu Problemów Energetyki PAN, który podjął się trudnego zadania spopularyzowania problemów energetycznych wśród polskich czytelników. Książka ta ukazała się w nowej i bardzo interesującej serii Książki i Wiedzy: „Prognozy — Perspektywy".

Kazimierz Kopecki problemy energetyki traktuje w rozwoju. Od czasów najdawniejszych, kiedy to legendarny Prometeusz wykradł Zeusowi ogień, aż do czasów przyszłych, kiedy człowiek powszechniej będzie wykorzystywał nie tylko energię atomu, ale nauczy się pełniej korzystać z energii Słońca.

Jest więc w książce Kazimierza Kopeckiego przegląd najważniejszych wydarzeń z historii rozwoju energetyki, jest prezentacja zasobów energetycznych Ziemi, są rozważania nad tym, na jak długo nam starczy tych zasobów, jest też prezentacja niektórych problemów technologicznych związanych z energetyką i wreszcie rzecz najbardziej fascynująca — prezentacja niedalekiej już przyszłości w energetyce.

Książka Kazimierza Kopeckiego jest niezwykle interesująca i godna polecenia wszystkim, gdyż nasza edukacja w tej dziedzinie przedstawia się bardzo skromnie.

Kazimierz Kopecki — „Człowiek w świecie energii", Książka i Wiedza, Warszawa 1976, str. 370, cena: zł 45,—

POLSKA W RWPG

Z okazji XXX sesji Rady wzajemnej Pomocy Gospodarczej GUS wydał niezwykle ciekawą pozycję. Nosi ona tytuł: „Kraje RWPG 1960—1975" i stanowi przegląd danych statystycznych tego okresu w krajach należących do RWPG.

Zbiór danych statystycznych, które trudno nazwać rocznikiem statystycznym, gdyż daje on przegląd rezultatów różnorodnej działalności państw członków RWPG w ciągu 15 lat, pokazuje między innymi miejsce RWPG w gospodarce światowej, a także miejsce poszczególnych członków w ramach wspólnoty.

W różnych rozmowach i dyskusjach bardzo często używa się porównań naszych rezultatów z rezultatami sąsiadów lub innych krajów wspólnoty socjalistycznej. Są to często porównania wynikające z bezpośrednich obserwacji. Bardzo lubimy takie porównania. Nie lubimy natomiast sięgać do faktów, do danych statystycznych, gdyż często nie potrafimy ich czytać. A statystyczna publikacja „Kraje RWPG 1960—1975" przynosi wiele ciekawego materiału do porównań, do rozważań nad miejscem i rolą Polski w RWPG i nad samą istotą RWPG i znaczeniem tej międzynarodowej organizacji dla rozwoju wewnętrznego poszczególnych krajów.

„Kraje RWPG 1960—1976", Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1976, str. 196, cena zł 30,—

KAW PROPONUJE

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA rozpoczęła wydawanie kilku interesujących serii.

„NASZA OJCZYZNA POLSKA LUDOWA" — to seria, którą KAW wydaje wspólnie z **Książką i Wiedzą,** a która poświęcona jest popularyzacji problemów podjętych przez III Plenum KC PZPR. W księgarniach jest już pierwsza pozycja z tej serii. Jest to praca **Stanisława Bednarskiego** pt. **Konstytucja rozważania i refleksje,** w której autor omawia genezę i charakter Konstytucji PRL, a także ustrojowe, polityczne i społeczno-gospodarcze konsekwencje wynikające z ustawy zasadniczej.

Wydawcy: **KAW i Książka i Wiedza** zapowiadają, że już niedługo w tej serii ukażą się następujące pozycje: **„Symbolika narodowa", „Sojusz braterski, „O naszą Polskę", „Warszawa — stolica PRL".**

„WYDARZENIA '75 — KALEJDOSKOP" — to zapis najważniejszych wydarzeń minionego roku. Dokonał tego **Jerzy Barszczewski,** prezentując Czytelnikowi nie tylko to wszystko, co istotnego zdarzyło się w Azji, Ameryce, Europie i na innych kontynentach, ale też ważniejsze wydarzenia z ONZ i innych międzynarodowych organizacji, w ruchu robotniczym, gospodarce światowej oraz prezentując krótkie sylwetki tych polityków i działaczy, którzy pojawili się na międzynarodowej arenie w 1975 roku.

Miejmy nadzieję, że **KAW** — podobnie jak ma to miejsce z kalejdoskopem wydarzeń sportowych — będzie kontynuował z roku na rok tę cenną inicjatywę edytorską.

„POLITYCZNE ABC" — to kolejna seria wydawnicza KAW. Prezentowane w niej są prace na temat poszczególnych państw Europy. Ukazały się już między innymi książki o Grecji i Belgii. Inne w przygotowaniu.

L. W.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

DALSZE NIEWIADOME

Gdyby mi wcześniej wpadło do głowy zwrócić się do doc. dr Heleny Karwackiej z UŁ, mój felieton sprzed dwóch tygodni nie miałby aż tylu niewiadomych. Tak więc wiadomo już, kim był łódzki przedstawiciel tygodnika „Złoty Róg". Zenon Pietkiewicz był działaczem kulturalnym i publicystą — tyle że związanym głównie z Warszawą, stąd brak jego nazwiska w bibliografii prasy łódzkiej. Jeśli zaś chodzi o sam tygodnik, to doc. dr Helena Karwacka podała, że wydawcą tego pisma była Izabela Glisczyńska — żona Artura Glisczyńskiego.

Dodatkowych informacji udzielił mi też nasz współpracownik, Wacław Pawlak (notabene autor ciekawej książki o Łodzi pt. „W cieniu ratuszowej wieży"). Pan Pawlak skierował mnie do takich źródeł informacji, jak „Ilustrowana Encyklopedia" Trzaski, Everta i Michalskiego i „Prasa warszawska" Witolda Giełżyńskiego.

Istotnie w tej starej, lecz wciąż niezawodnej encyklopedii jest na stronie 212 hasło „Zenon Pietkiewicz", w którym czytamy: „ekonomista i publicysta. ur. 1862 w Pruszynie w powiecie rzeczyckim. Studia prawne na Uniwersytecie Warszawskim. Długoletni współpracownik „Prawdy" (chodzi oczywiście o „Prawdę" Aleksandra Świętochowskiego), 1899 redaktor „Ekonomisty", opublikował szereg nowel i prac etnograficznych".

Od doc. dr Heleny Karwackiej wiem również, że rodzina Pietkiewiczów była liczna i znana w Warszawie. W encyklopedii Trzaski jest istotnie biogram jeszcze innego Pietkiewicza — Zygmunta, także zresztą współpracownika („Prawdy"). W świecie literackim Warszawy popularny był również pisarz i publicysta Adam Pług, redaktor „Kłosów", „Wędrowca" i „Kuriera Warszawskiego", autor gawęd, wierszy, powieści i opowiadań. Naprawdę nazywał się Antoni Pietkiewicz.

Wacław Pawlak przypuszcza, że łódzki adres Zenona Pietkiewicza (Inżynierska 1) dowodzi, iż w owym czasie był on zatrudniony w administracji łódzkiej rzeźni, gdyż wspomniany budynek mieścił biura zarządu tej instytucji.

To przypuszczenie jest zapewne trafne. Otóż w numerze „Złotego Rogu" z 13 października 1912 roku znalazłem artykuł „Rzeźnia miejska w Łodzi". Znajdujemy tam nie tylko pochwałę owej instytucji za nowoczesność „techniki i higieny", ale opinię, że jest to rzeźnia stojąca „na poziomie pierwszorzędnych urządzeń tego rodzaju za granicą, a w obrębie państwa rosyjskiego, z wyjątkiem Rygi i Dorpatu, posiadających rzeźnie wzorowe, jest jedyną". W artykule znalazły się również nazwiska udziałowców oraz dyrektora „energicznego, sprężystego i pracowitego inżyniera p. Karola Zaleskiego".

Nawet jeśli przyjmiemy, że łódzka rzeźnia zasługiwała na wysoką ocenę, to fakt, że pisał o niej Pietkiewicz, zajmujący się raczej w swojej publicystyce problemami politycznymi i artystycznymi — musi dać wiele do myślenia.

Tak więc tę jedną sprawę mielibyśmy mniej więcej wyjaśnioną. Nieco gorzej jest z łódzkimi rzeźbiarzami. Ślady Szczygielskiego i Czaplińskiego urywają się jeszcze przed II wojną światową i być może nigdy się ich nie odnajdzie Nawet nie wiadomo czy zginęli w zawierusze wojennej. W każdym razie Biuletyn ZPAP (specjalne wydanie w 25 rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem) zawierający nazwiska artystów zmarłych w latach 1939—1945 nie notuje ani Władysława Czaplińskiego, ani Antoniego Szczygielskiego.

Dziwna i tragiczna jest też historia malarki Eugenii Bartkiewiczowej — żony Zygmunta Bartkiewicza. „Słownik Artystów Polskich" podaje tylko, że „w 1962 jeszcze malowała". Nikt nie wie gdzie i kiedy zmarła i gdzie jest pochowana, ponieważ wyjechała z Brwinowa w początkach lat sześćdziesiątych i więcej już nie wróciła. Miała wówczas ponad 80 lat. Co się stało z pamiątkami i rękopisami po Zygmuncie Bartkiewiczu, który zmarł w Brwinowie w 1944 roku — także nie wiadomo.

Tak więc szperając po łódzkiej przeszłości jedne niewiadome wyjaśniają się szybko, choć dotyczą początków wieku, lecz natychmiast zjawiają się nowe, dotyczące już lat nam bliskich.

WIDOK

LEWYM OKIEM

TYGRYSY MAJĄ DOBRZE...

„Nie ma dziś ważniejszego zadania niż zapewnienie ludziom prawidłowego żywienia i nie ma pilniejszej potrzeby niż pouczanie i uświadamianie w sprawach odżywiania" — pisze w „Polityce" dr Kinga Wiśniewska-Roszkowska, kierująca Wojewódzkim Ośrodkiem Geriatrycznym w Łodzi. Sprawa jest niewątpliwie dużej wagi, nawet jeśli zwroty: „nie ma ważniejszego zadania niż" i „nie ma pilniejszej potrzeby niż" znane nam są z wielu innych okazji, kiedy dotyczyły innych spraw.

Pouczanie o właściwym odżywianiu jest społeczną koniecznością, zresztą my c h c e m y być pouczani; ludzie łakną wskazówek i instrukcji co do tego, jak nie tyć, jak uniknąć cukrzycy, opóźnić sklerozę, nie dać się nadkwasotom. Sęk tylko w tym, że udzielane nam wskazówki są tak niezmiernie chwiejne i rozbieżne, że wreszcie naprawdę nie wiadomo, czego się trzymać.

Profesor Aleksandrowicz w „Przekroju" zaleca spożywać jak najwięcej soli, i to możliwie nieoczyszczanej, bo ta zawiera różne rzadkie składniki mineralne potrzebne organizmowi. Krowy są mądre — pisze profesor — bo liżą człowieka po rękach, a ręce są słone od potu. Ludzie natomiast nie liżą bloków soli z Wieliczki, a powinni. Ale może nie powinni? Bo oto profesor Król pisze w miesięczniku „Zdrowie", że sól zaliczyć należy do najbardziej szkodliwych czynników wyzwalających i utrwalających nadciśnienie. Krowy o tym jeszcze nie wiedzą, ale skoro my wiemy — to lizać sól, czy nie lizać?

Jerzy Dmowski pisząc w „Polityce" o chlebie wspomina z żalem pyszne niegdysiejsze kajzerki. „Cała tajemnica kajzerki zasadzała się na tym, że nie miała ona środka, lecz wyłącznie skórkę — chrupiącą, aromatyczną i ślicznie zarumienioną. Przed kilku laty piekarze z fanfarami ogłosili unowocześnienie produkcji. Bułki, zamiast nacięcia na krzyż, mają dwa równoległe draśnięcia — postęp i modernizacja więc są, ale kajzerki już nie ma".

No i dobrze, że nie ma — ogłasza ta sama „Polityka" w tym samym numerze, w artykule dr Wiśniewskiej-Roszkowskiej: „Podniecające i smaczne związki chemiczne (niepożądane z lekarskiego punktu widzenia, jak to wynika z kontekstu cyt. artykułu — przyp. mój) powstają w przysmażanych i przypiekanych pokarmach — stąd np. zwyczaj wypiekania bułek, które zawierają dużo chrupiącej skórki".

Precz z chrupiącą skórką, jaka szkoda, że nie ma chrupiącej skórki! „Podstawę wyżywienia — pisze dr Roszkowska — stanowią: ciemny chleb, kasze, jarzyny, owoce i mleko oraz jego przetwory". Masło jest jak wiadomo przetworem mleka. Ale w tym samym artykule czytamy trochę dalej, że kuchnia polska dąży samobójczo do przekarmienia kaloryczno-białkowego, upatrując „największe wartości w tłustych mięsach, wędlinach i rosołach, w maśle i słoninie".

A zatem: precz z masłem, stanowiącym podstawę wyżywienia!

Najlepiej w ogóle niczego nie smażyć, raczej piec, a jeszcze lepiej wędzić. Czytaliśmy już, że stuletni starcy z Meksyku, powoływani zresztą jako wzorce przy wielu bardzo różnych recepturach dietetycznych, mieli się żywić właśnie wędzonym mięsem i rybami. Niestety, okazuje się teraz, że przy wędzeniu, tak samo jak przy smażeniu, pojawiają się w pokarmach związki rakotwórcze... No to jak jeść te ryby: nie smażone, nie wędzone, tylko jakie? W tomacie?

Chyba żeby w ogóle nie jeść ryb. „Proste i naturalne, mleczno-jarskie odżywianie sprzyja zdrowej długowieczności". Wprawdzie ciężko pracujący górnik powinien spożywać bardziej kaloryczne pokarmy, to znaczy więcej mięsa. Ale właściwie dlaczego, skoro czytamy, że „pokarmy mięsne dają złudne wrażenie siły"? Nie chodzi przecież o to, aby górnik miał złudzenie, że jest silny...

„Człowiekowi głodnemu najprostsze, naturalne pokarmy smakują doskonale i tylko taka jedzeniowa przyjemność jest zdrowa i godna polecenia. Natomiast zaspokajanie rozkapryszonych apetytów za pomocą sztuki kulinarnej wiedzie prostą drogą do przekarmienia i wszystkich jego konsekwencji" czyli — jak czytam dalej — do dużej sumy „cierpień i rozpaczy z powodu ciężkich przewlekłych chorób i przedwczesnych zgonów".

Na szczęście nasza sztuka kulinarna — pomimo całych kolumn wyrafinowanych porad kuchennych we wszystkich czasopismach — jest praktycznie w stanie atrofii i ciężka rozpacz wynikła z cmokania nad jarzębkami w ptysiach chyba nam nie grozi. A najlepiej to mają tygrysy w cyrku. Oto czytamy w „Kulturze", że przez jeden dzień w tygodniu nie karmi ich się w ogóle. Z jaką zdrową przyjemnością zasiadają do śniadania nazajutrz!

ĆWIEK

PROPOZYCJE

MĘŻCZYŹNI Z ZAPAŁKAMI

Pod koniec lata zabrakło zapałek. A ponieważ w odczuciu klienta nasz rynek rządzi się zupełnie irracjonalnymi prawami i nigdy nie wiadomo, co jest, czego brakuje i co z tego wyniknie, więc i wówczas klient wpadł w panikę i kupował zapałki na zapas. Trudno mu się zresztą dziwić, gdyż zapalanie gazu od iskier uderzanych o siebie kamieni nie jest sztuką łatwą i wielu prędzej znalazłoby się w szpitalu niż zapaliło gaz. Ale to wszystko już historia. Tak by się mogło wydawać. Zapałek przecież nie brakuje, więc w czym rzecz?

Rzecz w tym, że wówczas — pod koniec lata — Andrzej Leszczyński w „Trybunie Ludu" próbował odpowiedzieć na pytanie: „Dlaczego zabrakło zapałek". Postąpił bardzo słusznie, próbując pokazać czytelnikom jakie to mechanizmy społeczne i gospodarcze powodują różne zakłócenia na rynku. I oto kilka dni temu „Trybuna Ludu" przyniosła odpowiedzi naczelnego dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Płyt, Sklejek i Zapałek — Tadeusza Olejniczaka oraz kierownictwa Czechowickich Zakładów Przemysłu Zapałczanego — (podpisy nieczytelne). Bardzo to ciekawa lektura. Andrzej Leszczyński pod koniec lata doszedł do wniosku, że zapałek zabrakło, gdyż nie podjęto w porę właściwych decyzji. Jego zdaniem, przy właściwej ocenie opóźnień w procesie modernizacji fabryki w Czechowicach, można było przewidzieć zakłócenia w dostawach na rynek i można było im wcześniej przeciwdziałać. Taki był pogląd Andrzeja Leszczyńskiego.

A co na to autorzy listów drukowanych kilka dni temu w „Trybunie Ludu"?

I tu się zaczyna problem nieco szerszy. Również w „Trybunie Ludu" przeczytałem niedawno refleksje Ireny Dryll na temat reakcji niektórych załóg na telegramy publikowane przez gazetę.

„Dotychczas słyszało się zewsząd — cytuje Irena Dryll jeden z poglądów — że pracujemy dobrze, solidnie. I naraz — telegram. Popsuto nam dobre imię".

Kierownictwo fabryki zapałek w Czechowicach reaguje w sposób podobny. Cytuje w liście do „Trybuny Ludu" wypowiedzi W. Kurnata, Cz. Skrzydeła i J. Wróbel, którzy wypowiadali się z całą mocą, stanowczo protestowali i „wypowiadali się słowami rozgoryczenia", uważając, że A. Leszczyński był uprzejmy ich skrzywdzić. Nawet się nie dziwię takiej reakcji.

List Tadeusza Olejniczaka do „Trybuny Ludu" stanowi bowiem klasyczny przykład pewnego sposobu myślenia. Dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Płyt, Sklejek i Zapałek demonstruje w nim statyczny, a także statystyczny sposób myślenia. Opowiada historię przemysłu zapałczanego, szukając w przeszłości, w obiektywnych uwarunkowaniach, przyczyn zaistniałych okresowo trudności. Dokładnie charakteryzuje podjęte w ostatnich latach zamierzenia modernizacyjne i przypomina, że jeśli w latach 1960—1970 produkcja zapałek wzrosła o 11 proc., to w ostatnich trzech latach — o 15 proc. Byłbym jednak ciekaw, jak w tym czasie rosło zapotrzebowanie, jak przedstawiały się zapasy w handlu?

Przymierzanie się do przeszłości jest bardzo efektowne. Wiadomo, że kraj nasz dokonuje ogromnego wysiłku, że przyjęliśmy strategię dynamicznego rozwoju, więc i wyniki tego powinny być interesujące. Ale też jest to jedna tylko strona zagadnienia. Druga, to procent zaspokajania społecznych potrzeb i to zarówno pod względem ilości, jak i jakości. A o tym najczęściej się nie mówi. Przynajmniej się nie mówi załogom. Natomiast na zebraniach i akademiach wiele się mówi zazwyczaj o historii i postępie, o tym, co już fabryka ta czy inna osiągnęła i co jeszcze zamierza się zrobić. Ale jak wyniki jej pracy ocenia społeczeństwo, jak przyjmuje je klient, o tym najczęściej mówi się w dyrektorskich gabinetach. Nie ma więc czego później dziwić się, że nagle — po publicznej krytyce — załoga tej czy innej fabryki zostaje zaskoczona i rozgoryczona: — popsuto nam dobre imię. Kto popsuł? Prasa oczywiście. Telewizja lub radio.

Nie dziwię się też wcale, że krytykowani w pierwszym odruchu bronią się przede wszystkim i za wszelką cenę. Rację niewątpliwie ma Irena Dryll, kiedy pisze, że „wszyscy musimy uczyć się kultury krytyki i kultury przyjmowania krytyki". Pisze ona też słusznie, że na krytykę trzeba reagować normalnie, „nie lekceważyć krytyki, ale nie traktować jej jako klęski, a jako pomoc". Z tym się zapewne wszyscy zgodzą i uznają za bardzo słuszne uwagi, ale w praktyce różnie z tym bywa. Kiedy wszyscy już dokładnie przyzwyczajają się do tego, że tylko się wzajemnie chwalimy i nie mówimy sobie w oczy rzeczy przykrych, kiedy panuje „pełny wersal" i nagle ktoś niespodziewanie zmienia „zasady gry", wtedy najłatwiej w pierwszym odruchu po prostu się obrazić. Bardzo to ludzkie, ale mało skuteczne.

Wydaje mi się, że w naszym życiu społecznym potrzeba dialektycznego podejścia do krytyki, wynikającego z rzeczowej i głębokiej analizy ocenianego fragmentu rzeczywistości, niezależnie od tego czy to będzie praca jakiejś grupy społecznej, czy jednego wydziału fabryki. A tego trzeba się niestety uczyć.

MARCIN RODAK

magazyn

JAN BĄBIŃSKI

CIESZY SIĘ JAKBY ŚCIĄŁ TURCZYNA...

Dawnymi już czasy mawiano w Polsze — „Nad Turki i Tatary nie ma gorszej wiary".

I zaraz dodawano — „Cieszy się jakby ściął Turczyna".

I dziś jeszcze słowo Turcy kojarzy się w niejednej głowie z nędzą, zacofaniem, religijnym fanatyzmem i dzikością obyczajów. Dla wielu Europa kończy się na granicy bułgarskiej, a już z całą pewnością urywa się na przedpolach Istambułu. Bo dalej to już Azja, to już to wszystko, co w oczach szanującego się wielce Europejczyka uchodzi za inne, odmienne, nie bardzo zrozumiałe, budzące trwogę niekiedy i niepokój. Taki obraz Turcji wielu wciąż prześladuje. Gdy wymawia się słowo Turek, myśli się odruchowo o ponurych jeźdźcach w bogatych turbanach na głowie, którzy groźnie wywijają krzywymi szablami. Myśli się o porywaniu dziewcząt, eunuchach i haremach.

Zresztą o powierzchowne sądy o narodach nie tak znów trudno. Wiadomo, że Anglik jest sztywny, Francuz w sobie zadufany, Włoch krzykliwy, Amerykanin chamowaty, a Holender taka kutwa i krętacz, że gdzie przejdzie, to jak powiadają Japończycy, nawet trawa nie rośnie. My o Turkach to i owo, a oni, Turcy, też mają własne zdanie o Europejczykach.

Zapytać Turka w Istambule, co był w Hamburgu, popracował w porcie przez dwa lata i wrócił z powrotem na ojczyzny łono, co myśli o hamburczykach, to Turek odpowie, Niemcy... o to nic dobrego. Niemcy interesują się tylko pracą i pieniędzmi, cała reszta ich nie obchodzi. Każdy ściąga tam pod siebie. A innym wara. Oni tam prędzej już rzucą psu jakiś przysmak, prędzej jeszcze raz przejadą szmatką po karoserii swego wozu niż pomogą sąsiadowi w potrzebie. To straszni egoiści i groszoroby.

Byłem w tureckim haremie.

Odwiedziłem nawet ten najsłynniejszy harem ze wszystkich, bo wepchnięty w sam środek sułtańskiego pałacu Topkapi.

Wielki to harem. Ale tak z ręką na sercu spodziewałem się czegoś bardziej wspaniałego. Sądziłem, że ujrzę pałac jak z bajki, jak z Tysiąca i Jednej Nocy. Raptem zawód. I to dotkliwy. Sułtański pałac rozczarowuje. Budynki są niskie i niepozorne. Poukrywane w cieniu drzew. Zdumiewa chaos w zabudowie. To nie Schoenbrunn i nie Sanssouci, to nie Luwr i nie Wersal, gdzie zabudowania składają się na harmonijną, wdzięczną przy tym i monumentalną całość.

Droga do komnat haremowych wiedzie przez labirynt krętych mocno korytarzy, przedsionków i zygzakowatych schodów. Co najbardziej rzuca się w oczy to glazurowane kafelki, którymi wyłożone są łożnice. Harem, ponure raczej myśli plączą się po głowie, gdy patrzy się na okratowane pomieszczenia, w których więziono damy sułtańskiego łoża. To było przecież nic innego jak więzienie. Na oknach kraty. Na drzwiach zasuwy. W korytarzu oni, eunuchowie, którzy strzegli i pilnowali. W złoconych klatkach przebywały tu cudownie piękne kobiety. Jak się tu czuły te młodziutkie dziewczęta zapędzane do sułtańskiego haremu z wszystkich krańców tureckiego imperium. Rosjanki tu trafiały, Ukrainki, Bułgarki, a już najwięcej delikatnej urody Greczynek i pełnych temperamentu Arabek.

Marian Brzeziński w podróżniczej książce wydanej w Warszawie w 1900 r.pt. „Turcy, ich obyczaje i religia", tak opisuje swe wrażenia:

„Smutne nad wyraz jest życie kobiet tureckich. Zamknięte w haremie, odsunięte od ludzi, chociaż otoczone zbytkiem i przepychem całe lata trawią w bezczynności, w towarzystwie podobnych sobie, z jedną tylko myślą, żeby jak najwięcej dogodzić swemu mężowi i być górą nad resztą żon. Ile wynika z tego w haremie kłótni, niezgód, knowań i upodlenia, łatwo sobie wyobrazić. Dobrze, jeśli która ma dzieci, bo wtedy wychowanie ich daje przynajmniej cel w życiu. Lecz jeśli tych brak, życie w haremie staje się wprost nieznośnym".

Tak było, owszem...

Zresztą Koran nie ma zbyt wysokiego wyobrażenia o kobietach. Koran uważa kobietę za stworzenie nieczyste, niższe od mężczyzny. Toteż w krajach muzułmańskich kobietę w ruchach krępowano. Nie wolno było jej samej wychodzić na ulicę. Nie wolno było przyjmować żadnych gości. Chyba że to były kobiety. Nie wolno było pokazywać się bez jarzmaka, więc grubej zasłony na twarzy. Nie wolno było jeszcze tego i nie wolno było tamtego. Tureckie kobiety znużone i półsenne trawiły w haremach czas na bezmyślnym paplaniu, strojeniu się i na pałacowych intrygach.

Tak było, owszem... ale to już przebrzmiała historia.

Po pierwsze, haremów w Turcji nie ma od prawie trzech pokoleń. Po wtóre współczesne Turczynki nie te co kiedyś. W ogóle cały kraj nie ten. Być może, wciąż komuś się wydaje, że Turczynki z twarzą na pół przysłoniętą muślinem, drepczą stukając czerwonymi pantofelkami wyszywanymi oczywiście złotem. Tak odziana niewiasta jest taką samą dziś rzadkością na ulicach Istambułu, jak wiejska kobieta w sieradzkim stroju na Piotrkowskiej w mieście Łodzi. Pewnie, że dawne przesądy, zwłaszcza na tureckiej wsi, są wciąż widoczne i w oczy się rzucają. W samym Istambule też nie spotkałem ani jednej kobiety, która by była kelnerką bądź ekspedientką. To jednak niczego jeszcze nie dowodzi. Bezrobocie jest w Turcji narodową plagą. Te prace, które są, rezerwuje się przeto dla mężczyzn. Czy jednak w przedwojennej Polsce było inaczej? W sklepach też przeważali wtenczas mężczyźni, w restauracjach dominowali kelnerzy. To więc kwestia zarówno tradycji i obyczajów, co gospodarczego rozwoju i ekonomicznego postępu. Gdzie pracy w bród, tam kobiety wychodzą wszędzie do przodu. Gdzie pracy mało, kobiety zostają w domu, przy dzieciach i przy kuchennych garnkach.

Zazdrosny jak Turek...

Hiszpanów do panowania nad światem pchała żądza złota, Niemców żądza władzy, Turków żądza kobiet. Przez całe wieki taka opinia o Turkach szeroko dość była rozpowszechniona. Uważano, że to naród okrutny i bezwzględny. Grecy tej opinii nie zmienili po dziś dzień. Ormianie na dźwięk słowa Turek odruchowo spluwają. Turek gorszy od dżumy... istotnie, gdy się czyta pamiętniki, gdy sięga się do źródłowych rzeczywiście materiałów, to przy ich czytaniu, mogą ciarki przejść po grzbiecie.

Wyjątek z „Pamiętnika Janczara — czyli kroniki tureckiej Konstantego z Ostrowicy, napisanej między rokiem 1496 a 1501":

„...a tego samego Tatarzyna związanego przed się sułtan przywieść kazał, a położył go wznak na ziemi i kazał sobie dwie świece woskowe grube przynieść zapalone, a gdy się najwięcej rozgorzały, ustąpił sam sułtan na pierwszą jedną nogę i obrócił świece w dół, aby wosk z płomieniem kapał na oczy Tatarzyna tak długo, aż mu musiały wyleźć. Potem kazał katu, aby mu dwa kawałca skóry wydarł przez wszystkie plecy aż na ramiona. A cały tydzień żyw był, myślając jemu co dzień inne męki i zostawili go podle drogi, aż go psi zjedli".

Tenże sam Konstanty z Ostrowicy o zdobyciu przez Turków miasta w Bośni:

„...a sułtan ze swoimi tam stojąc, kazał odbierać pacholęta na jedną stronę, a żeńską płeć na drugą stronę. Co gdy się stało, celniejszych ludzi i mieszczan ścinać zaraz kazał... z onych tych pacholąt dał męskie znamiona jem porzezać z których jeden umarł. Turcy zowią takie „hadomlar" jakoby rzekł kleszczoncy, a ci żon sułtańskich patrzają".

Straszne? Oczywiście, że tak. Ale takie to były czasy. Myśmy też niejednego Turka, niejednego Tatarzyna wbijali na pal na Kresach. Nam też niczego nie brakowało podczas duszenia ukraińskich powstań. Powiada się, że Turcy złupili Konstantynopol, a kwitnącą kulturę Bizancjum zamienili w ruinę. Przypuśćmy, ale nawet Turkom daleko było do Krzyżowców. To Krzyżowcy pod wodzą Wenecjan zdobyli Konstantynopol w 1204 r. Co się potem w mieście działo, graniczyło z makabrą. Mord i rabunek. Gwałty i zniszczenia. Wspaniałą świątynię, „Hagię Sophię" Krzyżowcy przekształcili w gigantyczny dom... publiczny, w którym przez wiele dni i nocy trwały niewyobrażalne orgie. Kiedy sułtan Mehmet wdarł się do Konstantynopola na czele janczarów, wjechał istotnie zaraz na koniu do „Hagii Sophii". Z konia jednak natychmiast zeskoczył i pod wrażeniem piękna jakie się wkoło roztaczało, ukląkł i pomodlił się. Zabronił też dokonywania w tej świątyni jakichkolwiek zniszczeń.

Powiada się Turcy... a czy Szwedzi byli lepsi? Czy to nie Szwedzi palili, mordowali i gwałcili? Czy nie oni zrabowali nam najcenniejsze dzieła sztuki? Czy nie przekształcili Polski w dymiącą ruinę? Po szwedzkim potopie Polska już nigdy nie stanęła na nogi. Już nigdy nie odzyskała dawnej siły i potęgi. Takie to były czasy, czasy wojen i okrucieństwa. Dziś Szwedzi to jeden z najbardziej kulturalnych narodów tego świata. A co do współczesnych Turków, to odniosłem wrażenie, że są uprzejmi, mili i nadspodziewanie gościnni. A mawiano niegdyś, milczący jak Turek.

Bo też po głowach wielu pęta się obraz Turka w długim chałacie, w jedwabnym fezie i z nieodstępną fają na długim cybuchu w ustach. Turek nic nie robi tylko milczy, chodzi powoli po ulicach, albo z podgiętymi nogami siedzi poważnie przed kramikiem. A cały Istambuł to kupa wielka drewnianych rud er, to nędzne zaułki, to brud, nędza, śmiecie i błoto. To gigantyczny bazar turecki pod gołym niebem. To ciasne uliczki, którymi ciągną długie szeregi osłów, wielbłądów, lub koni objuczonych towarami. I wszędzie tysiące tragarzy, roznosicieli wody, sprzedawców „tachat-łukum", więc słodkiej masy orzechów lub migdałów. Wszędzie ogłuszający wrzask i orientalny rwetes. To Istambuł.

Ja bym powiedział, że to bajki właśnie i zawracanie głowy.

Cały świat szybko się zmienia. Dzisiejsza Turcja to według mnie kraj zmierzający szybkimi krokami ku nowoczesności. Ten kraj przecinają już dobre całkiem drogi. Buduje się wiele. spośród porozwalanych wiejskich ruder coraz częściej przeświecają najnowocześniejsze traktory i japońskie wozy dostawcze. Ten kraj jest w ruchu. Turcja się zmienia. Całe dzielnice Konstantynopola przypominają do złudzenia Marsylię i Ateny. Inne znów są jakby najwierniejszą kopią starego przyportowego Neapolu. Ale na tym polega urok Istambułu, jego czar i niepowtarzalne piękno.

Fot.: Archiwum

POWIĘKSZENIA

NOWOŚCI

„Dziennik Popularny" donosi: **„W podziemiu SDH „Central" zgromadzono bogaty asortyment nowości — naczynia z powłoką „Teflon", noże specjalistyczne, nożyczki, scyzoryki, syfony. Non stop odbywać się będą pokazy użytkowania prezentowanych artykułów i degustacja".**

Chwileczkę, kto tu zwariował? Noże, nożyczki, scyzoryki i syfony — to nowość! Kto tu z kogo robi balona? I czy nie szkoda czasu na „pokazy użytkowania" nożyczek i syfonów?

Choć, prawdę mówiąc, to syfon by się przydał. Albo lepiej wiadro zimnej wody na głowę.

SYN WOJEWÓDZTWA

„Gazeta Ziemi Piotrkowskiej" pisze: **„Licytacja wydaje się zbyteczna. Niewątpliwie największym synem dawnego powiatu piotrkowskiego, dziś również województwa, jest Andrzej Frycz-Modrzewski".**

Mądry wójt z Wolborza nie przypuszczał zapewne, że dzięki reformie administracyjnej zostanie awansowany o szczebel wyżej. **Był synem powiatu, teraz jest synem województwa.**

OSZCZĘDNOŚCI

„Zbędna iluminacja sklepów!" — denerwuje się **„Głos Robotniczy"**, pisząc, że w wielu placówkach handlowych przez całą noc pali się światło. „GR" dziwi się, że sklepy oświetlone są nocą „bez wyraźnej potrzeby".

Otóż nieprawda. Nie jest to ani bzdura, ani bezmyślność ani marnotrawstwo. Te sprawy regulują od wielu lat określone przepisy i każde dziecko wie, że chodzi tu o względy bezpieczeństwa. Do oświetlonego sklepu nie włamie się nawet najgłupszy kryminalista. Można oczywiście wygasić światła i przed każdą witryną postawić patrol MO. Tylko, że to niemożliwe, a gdyby nawet — kosztowałoby to drożej niż wartość zaoszczędzonej w ten sposób energii.

MYŚL TECHNICZNA

Pabianicki **„POLAM"** opracował nowoczesne komplety lampek choinkowych. Jak pisze prasa komplety te **„mają szereg udoskonaleń".** Jest to osiągnięcie nowoczesnej myśli technicznej, bowiem lampki na choinkę składają się — jak wiadomo — z paru żarówek, kabelka i wtyczki. Nie jest łatwo udoskonalać takie urządzenie

Dzięki myśli technicznej **ZPP „Feniks"** produkowane tu rajstopy **„pakowane będą w pakieciki z niewielkim okrągłym otworkiem, przez który klientki będą mogły zorientować się w kolorze nabywanych rajstop"** — donosi **„Express".**

Patrzcie ludzie, do czego to doszło! Zupełnie się klientkom w głowach przewróci. Ale to jeszcze nie koniec. „Feniks" poszedł na całość — **„pakieciki z rajstopami posiadać będą zaznaczony rozmiar i wzrost przyszłych użytkowniczek"** — cieszy się **„Express".**

Nie wiadomo, czym skończy się taka nowoczesność i rozpieszczanie klientów. Dojdzie jeszcze do tego, że rajstopy będzie można kupić w każdym sklepie z rajstopami. Aż się wierzyć nie chce!

ŚLADAMI DAWNEJ ŁODZI

POWIATOWA SZKOŁA REALNA

WACŁAW PAWLAK

Na początku lat czterdziestych zeszłego stulecia stan szkolnictwa w Łodzi przedstawiał się bardzo ubogo. Miasto liczące już ponad 15 tys. mieszkańców posiadało zaledwie trzy szkółki elementarne jednoklasowe i ani jednej szkoły średniej. Mając to na uwadze grono znaczniejszych obywateli łódzkich poczyniło u władz Królestwa Kongresowego starania o utworzenie w Łodzi powiatowej szkoły średniej, przy czym zobowiązali się oni do pokrycia części kosztów budowy gmachu szkolnego. Sprawa wlokła się kilka lat. Wreszcie w 1845 roku otwarto w mieście czteroklasową szkołę realną, zwaną potocznie niemiecko-ruską. Nazwa uczelni świadczyła wymownie o panujących w niej tendencjach. Szkoła znalazła tymczasowe pomieszczenie w domu budowniczego Jakuba Petersa przy Nowym Rynku nr 5 (dzisiaj plac Wolności).

Do szkoły realnej uczeszczało około 130 uczniów (sami chłopcy). W większości wywodzili się oni z rodzin niemieckich, ale wśród uczących się była także spora gromadka młodzieży polskiej. Program uczelni obejmował naukę języka rosyjskiego i niemieckiego, religii, geografii, matematyki, przyrody, rysunków i kaligrafii. Całkowite wyrugowanie ze szkoły języka polskiego nie utrzymało się na dłuższą metę, gdyż uczniowie polscy używali języka ojczystego, nie mogąc się bez niego obyć. Podobnie więc jak w innych szkołach tego typu, wprowadzono od 1850 roku i do łódzkiej szkoły realnej język polski jako przedmiot nauczania. W tym samym czasie nadano szkole kierunek handlowy.

Dalszy rozwój uczelni ograniczała szczupłość zajmowanych przez nią pomieszczeń. Sprawą palącą stała się więc budowa własnego gmachu. Zakrzątnął się koło tego powołany w 1855 roku komitet budowy, któremu przewodniczył znany przemysłowiec łódzki Ludwik Geyer. Już po roku nowa siedziba szkoły przekazana została do użytku. Wzniesiony przy Nowym Rynku pod nr 14 jednopiętrowy murowany budynek całkowicie odpowiadał ówczesnym potrzebom uczelni.

W powiatowej szkole realnej zatrudnionych było wielu nauczycieli Polaków, jak na przykład Bączkowski, Kusiałowicz, Ostrowski, Rosłowicz, Zając. Z wybitniejszych postaci wymienić należy matematyka, Franciszka Rybkę, który uczył w tej szkole od jej założenia aż do 1869 roku. Nauczyciel ten wyróżniał się wszechstronnymi zainteresowaniami; pisywał korespondencje do warszawskiej „Gazety Codziennej" (1860 r.), reżyserował przedstawienia amatorskie w teatrzyku Fryderyka Sellina, redagował polską część dwujęzycznego pisma „Łódzkie Ogłoszenia — Lodzer Anzeiger", a następnie polski dodatek do niemieckiej gazety „Lodzer Zeitung". Podobno był on także wydawcą kilku numerów pierwszego pisma w Łodzi.

Spośród wykładowców szkoły realnej, obok Rybki, wybijał się Wiktor Dłużniewski, nauczyciel języka polskiego i geografii w latach 1850—1858. Dłużniewski był niejako prekursorem literackiego środowiska Łodzi. W 1857 roku wydał on utwór pt. „Paweł Łodzia-Kubowicz", poemat o przeszłości Łodzi, oparty na miejscowej legendzie. Współpracował także z pismem warszawskim „Kroniki Wiadomości Krajowych i Zagranicznych".

Wspomnieć by tu trzeba również uzdolnionego grafika i nauczyciela rysunków w szkole realnej, Karola Tranza, współpracującego z pierwszą litografią łódzką Feliksa Gotza. W latach osiemdziesiątych powiatowa szkoła realna przemianowana została na sześcioklasową Wyższą Szkołę Rzemieślniczą i przystosowana do specyficznych wymagań przemysłowego miasta. W 1884 roku nad gmachem szkolnym dobudowano drugie piętro. Szkołę wyposażono w gabinety naukowe oraz w bibliotekę liczącą 6 tys. tomów. Uczniowie ostatnich klas tej szkoły podczas okresu wakacyjnego odbywali praktykę w przędzalniach i farbiarniach łódzkich. Kształcili się w niej synowie wielu miejscowych przemysłowców.

W 1899 roku Szkoła Rzemieślnicza zmieniła swoją nazwę na Przemysłową, bardziej odpowiadającą jej kierunkowi nauczania. W cztery lata później uczelnię przeniesiono z Nowego Rynku do specjalnie wzniesionego gmachu przy ul. Pańskiej nr 115 (obecnie Żeromskiego). Dawny budynek szkolny poddany został w latach międzywojennych całkowitej przebudowie i nadbudowie dalszego piętra. W znacznie powiększonych pomieszczeniach ulokował się magistrat łódzki. Po ostatniej zaś wojnie budynek przekazano na siedzibę Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego.

Fot.: Archiwum

HORACY SAFRIN

INTERWENCJA LISA

Lisa, co nade wszystko ceni tłuste kąski,
oskarżono przed Sądem o zabójstwo gąski.
„Gęś ta — stwierdził — w kurniku wszczęła awanturę
i chciała nawet skubnąć swą sąsiadkę, kurę...
A że spokój wśród drobiu to rzecz dla mnie święta,
wystąpiłem natychmiast w roli interwenta."

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2388. R-2.